

Przełom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Karol Wróblewski</i> : „Kapitalizm fin de siècle“ II.	945
<i>K. W.</i> : Socjalistyczne stronnictwa w Niemczech	953
<i>Roman Lewandowski</i> : Strona rzemieślnicza w malarstwie	960
<i>K. W.</i> : O pracy i sztuce pracowania	964
<i>Fr. Rawita</i> : Dwie bajki	970
<i>Józef Klemens Kreibitz</i> : Maryja Magdalena	979

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

Prenumeratę należy przysyłać pod adresem:

Redakcja „Przełomu“, Wiedeń, VIII., Bannplatz 5.

WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wih. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895



→ Wiedeń, dnia 28. grudnia 1895. ←



„Kapitalizm fin de siècle“

Dra Rudolfa Meyera.

II.

O ile kapitalizm dopomógł człowiekowi do dźwignięcia się ze stanu barbarzyństwa i do opanowania sił natury, tak teraz wstępuje w fazę przeciwną i działa w gospodarce świata rewolucyjnie i szkodliwie. Doświadczenia zrobione in a n i m a v i l i na Japonii okazują jaskrawie jego skutki. Powierzchnowa styczność kraju Mikada z Europą starczyła, by zaprowadzić w nim konstytucyą z wyborami opartymi na stopie podatkowej, wywołać korupcyę prasy, giełdę, zubożenie ludności i cały orszak nędz społecznych. W przeciągu lat siedmiu zmniejszyła się w Japonii liczba wyborców płacących nad 100 marek podatku rocznie o 25%, urzędowa statystyka wykazała za to w dwójnasób zwiększoną ilość włóczęgów bez schroniska i sposobów do życia.

Najlepszym jest to dowodem, że zarazek cywilizacji kapitalistycznej zaszezepił się dobrze, że działa jad rozkładający od trzech wieków stare cielsko Europy. Kapitalizm starający się tanio kupić pracę ludzką, by najdrożej sprzedać jej produkt nie przyczynia się zgoła do bogactwa narodowego. Idea wyzysku żywych sił roboczych jest ogólnoludzkiem sobkostwem; nadający jej wyraz kapitalizm nie zna zatem żadnej ojczyzny ni obowiązków względem niej, z natury swej jest międzynarodowym i jeden tylko przedstawia interes procentu.

Dlatego też i źli, przekłęci przez proroków żydzi, ten naród bez ojczyzny jest największym fanatykiem kapitalizmu.

Dlatego w jego tylko mitologii znajdujemy kult złotego cielca, naokoło którego tańczy przez wszystkie wieki z szałem derwiszów, przeprowadzając idee wyzysku aż do absurdu, bez względu na siebie samego, na kapitalistów.

Już Adam Smith powiedział, że interesa bogactwa narodu „wealth of nation“ nie są interesami narodu. Jest to wynikiem wewnętrznej sprzeczności, tkwiącej w procentowaniu się kapitału. Malthus, ów przezorny opiekun i ochmistrz kapitalistów, radzi im zawsze używać procenta. Rady tej słucha nie wielu. Albo nie dopisuje zdolność używania, albo też taką już jest ta nieszczęsna natura człowieka, że mając wiele, radby posiadać więcej. Ostatecznie więc dzieje się tak, że kapitał, wyzyskawszy raz pracę ludzką, nie zadawalnia się odniesionym łupem, ale znów nowej szuka lokacyi procentu, nowego punktu zaczepienia i nowego środowiska dla swych spekulacji. Bogiem jego jest skrzydlaty Hermes, poruszy on niebo i ziemię, by tylko wycisnąć procent i dywidendy.

Starożytny kapitalizm opierał się na pracy niewolników. Część tylko i to bardzo nieznaczna stawała się towarem, resztę zużywać było trzeba na ich wyżywienie i hodowanie. W wiekach średnich handel był ściśle ograniczony. Produkowano albo dla siebie, albo na zamówienie, albo na targ miejski, którego zapotrzebowanie można było z doświadczenia obliczyć. Dzisiejsze środki komunikacyjne zmieniły istotę dawnego handlu. Targowicą jego dzisiaj nie jest rynek miasteczka, wały zamku rycerskiego lub babiniec kościoła, ale świat cały. Zboże można dziś sprowadzać do Saksonii w tak samo krótkim czasie i w tej samej, a co gorsza, mniejszej cenie z Ameryki, co i z Węgier lub Prus wschodnich. Producenci nie siedzą dziś obok siebie jako dobrzy sąsiedzi, co zgodnie i po przyjacielsku podzielili między siebie wyzyskiwanie jednego miejsca zbytu. Dziś są oni rozprószeni po całym świecie. Japoński fabrykant guzików robi konkurencyę niemieckiemu w Berlinie, nadreński plantator cukrowych buraków współzawodniczy z amerykańskim plantatorem nad Orinoko. Podział łupu okazywał się niemożliwym, rozpoczęto więc walkę naokoło niego, przyjęto manchesterski system wolnego handlu; kto był najsilniejszy, zwy-

ciężał. Z całą brutalnością ujawnia się też teraz prawo chłonięcia kapitałów większych przez mniejsze. Kram i sklepik drobnego przemysłowca pochłania magazyn, ten niebawem przyprowadza do ruiny wielki dom wysyłkowy, kto ma więcej, ten zostaje panem stanowiska. Kapitał skupia się w ręku coraz to nie-liczniejszych właścicieli. Jakąż masę kapitału posiada dom Rotszyldów i ona rośnie wciąż, rośnie jak lawina. Obok powstają w Ameryce bogate rodziny Rochfeller, Vanderbilt, Gould, Astor. Walczą z sobą, sprzymierzają się, ale zawsze jedno z nich giną, inne mniej liczne pozostaną bogatsze. Ale i te jak Saturn swe dzieci pożre finansowo ten, którego kapitał będzie największy. Wszyscy ludzie będą wówczas nędzarzami, ale i ten jedyny prawny właściciel nie będzie szczęśliwym. Przy zdrowych zmysłach nie będzie mógł zużyć takiej masy kapitału. Zdolność używania człowieka jest na to za mała. Zawiadowanie tym majątkiem kosztuje go za wiele; nie może się obronić przed oszustami, za wielu „wyzwoleńców“ potrzebuje do rządzenia ziemią. Wszystko bowiem należy do niego, wszystko jest jego własnością, wszystko. Gotówka i banki, koleje, parowce, kopalnie, domy, pola i piękne kobiety — ach co za ciężar administracji. Lepiej doprawdy zrzec się wszystkiego na korzyść wszystkich i samemu osiąść w książęco urządzonym pałacu waryatów. Tak to w nieskończoność rosnący kapitał sam przez się jest głupstwem, bo robi wszystkich nieszczęśliwymi, posiadacza i wydziedziczonych. Dotychczas tylko wyzyskiwani poznają jego krzywdy. Strejkom robotników przeciwstawił kapitalizm kartele przedsiębiorców, wobec których robotnik jest bezsilnym. W kartelu luźny początkowo stosunek przedsiębiorców do siebie staje się coraz ściślejszym tak, że w końcu stają się tylko akcyonaryuszami jednego wielkiego stowarzyszenia, dyktującego ceny towaru, płacę robotnika, stopień i napięcie produkcji. Potęga kapitalizmu, znajdująca swój ostatni wyraz w kartelach przedsiębiorców długo trwać nie może. Państwo jest wprawdzie powolnym sługą burżuazji, ale tylko do pewnego stopnia.

Osobiste interesa państwa sprawiają, że popada z nią w antagonizm. Potrzebując żołnierza, musi strzedz robotnika

przed zdegenerowaniem i ujarzmieniem, bo niewolnik nie może i nie chce nosić broni. Wysokie podatki nakładane przez państwo na burżuazyję zaczęły już jej żołądek i nerki. Państwo broni nie tylko interesów przedsiębiorców i producentów, ale także i konsumentów, boć i samo przez swój stan urzędniczy jest największym konsumentem. Z tego względu państwo nie pozwoli dowolnie wyznaczać cen, musi objąć przewodnictwo karteli w swe ręce. Już teraz trzyma państwo wiele przedsiębiorstw we własnym zarządzie, posiada poczty, koleje, kopalnie. Dotychczas wyzyskuje je fiskalnie, czasami postępowanie jego względem robotników jest gorsze, niż prywatnych przedsiębiorców, z których żaden nie może tak opanować robotnika, jak państwo przez swą polityczną potęgę. Kiedy jednak robotnicy dojdą do odpowiedniego wpływu w parlamencie i gospodarstwie państwowem, rządy przestaną traktować swe przedsiębiorstwa wyłącznie ze stanowiska najwyższej wydajności i poczną przybierać coraz więcej cech rządów socjalnych. Kapitalizm więc znajduje się dzisiaj jak ten, co siedzi na gałęzi i sam ją pod sobą podpiłowuje. Prosto zbliża się chwila, w której jak w wiekach średnich przestanie być produktywnym. Już dzisiaj dają się słyszeć skargi, że bilans handlu europejskiego jest dziwnie biernym. Jest to naturalnem następstwem biegu spraw. Kapitalizm skończył swą podróż naokoło świata i gdzie dawniej istniały dlań miejsca zbytu, dziś powstały kraje współzawodniczące.

Północna Ameryka i Rosya, wyzyskiwane ongi przez handel jak kolonie, wystarczają sobie teraz zupełnie, zaopatrują same swoje potrzeby i zasypują targi Europy zbożem tańszem od kosztów swojskiej produkcji. Kapitalizm nie wie już, dokąd się zwrócić w pościgu za zyskiem. Na wyścigi starają się narody europejskie nieść „kulturę“ murzynom, ale ci nierozumni czarni nie chcą nic słyszeć o oświacie i w sokratesowskim poprzestawaniu na małym prowadzą swe bosc i nagie dolce far niente. Błogosławieństwa pracy, o których zazwyczaj najczęściej mówią ci, co albo zgoła, albo wygodnie pracują, są dla murzynów niezrozumiałą zagadką. Ziemia żyzna daje im łatwo pożywienie, ubrania nie noszą — więc na cóż im pra-

cować. Wiadomo, jak kapitalistyczna burżuazya Anglii popiera misye swego Kościoła w Anglii. Nie dzieje się to bez przyczyny. Angielski misyonarz jest pionierem kapitalizmu. Ochrzczona czarna dusza dostaje najpierw darmo majtki i pończochy, które w wolnych chwilach zrobiła pobożna żona pastora. Kiedy te się zedra, zjawia się kupiec ze swym straganem i rozbudzone nie po upadku, ale po nawróceniu uczucie wstydlivosti czar-nego zapewnia mu dobry zbył towaru.

Kafer uczy się teraz rozumieć miejsce biblii: „W pocie czoła będziesz pożywał chleba twego!“ — w którym praca przedstawioną jest chyba dlatego jako przekleństwo, że drugi ją zawsze wyzyskiwać musi. Afrykańskich sukcesów nikt jednak nie bierze na seryo. Faktem jest, że bilans handlu europejskiego staje się coraz więcej biernym. W Stanach Zjednoczonych w latach 1880—1890 ludność wzrosła z 50—63 milionów, sieć kolejowa przedłużyła się z 86.000 mil na 164.000, liczba pól wziętych pod uprawę z 80 milionów skończyła do 131 milionów. Środki żywności, zmieniające się w krew i ciało ludu, tanieją, kiedy na starym lądzie drożeją coraz więcej. Taki sam rozwój widzimy w Indjach, których handel wywozowy w r. 1889—1890 wzmógł się o 23%, to samo w przybliżeniu w Australii i Rosyi.

Kapitalistyczne klasy Europy nie mogą znaleźć u siebie odpowiedniej lokacyi, udają się z nimi za granicę. Tam powstają nowe przedsiębiorstwa, z których zyski płyną do Europy, kupującej za nie znów produkty owych krajów. Robotnik europejski nie znajduje żadnego zajęcia, musi cierpieć nędzę, emigrować lub zostawać służącym. Istotnie z dniem każdym coraz więcej służebnej zgrai, coraz mniej produktywnych rękodzielników. Zbliżają się czasy, w których kapitalistyczni potentates rzymscy zmienili pola Italii w parki, a zgłodniałe tłumy wołały na ulicach Romy: „Panem et circenses“.

Europa sprowadzała niegdys z Indyi goździki i bakalie, dziś z krajów zamorskich brać musi chleb. Nie „dziewicza“ ziemia amerykańska jest przyczyną, że europejskie zboże nie może wytrzymać jego konkurencyi. Robotnik amerykański jest wolnym obywatelem, prawdziwym panem swej pracy, jest chło-

pem, jakiego niema już prawie w Europie. Praca niewolnika, jeżeli ma być ciągłą, zawsze będzie gorszą od pracy wolnego najemnika, chłop-obywatel pokona w pracy służebną czeladź. Milionami, które militarna Europa zużywa, bezcelowo na chleb komiśny, komiśne buty, proch i kasarnie, Ameryka spłaca prędko swe długi. W r. 1880 wynosiły one 60 dolarów na głowę, dziś zaś tylko 30.

Nietylko wysokie podatki i drożyzna żywności, ale i ta okoliczność, że co jest do zrobienia w Ameryce u nas już dawno zrobiono, wpływa naniżenie stopy procentowej. To zaś jest pobudką do wędrówki kapitałów. W 95 wielkich bankach niemieckich fundusz dyspozycyjny w latach 1889—1891 zmniejszył się z 3156 na 104 milionów marek, dochód brutto znalazł 141 na 112 mil. marek; dywidenda z 8% na 5½%. Rezultat jest więc taki, że kapitał w 80% ucieka za granicę i tam ginie bezpowrotnie, lokowany w Niemczech przynosi coraz to mniej. Argentynie, Brazylii, Grecyi, Serbii w przeciągu lat dziesięciu dano 1000 milionów marek, a choć kilku kapitalistów będzie wyduszać coraz to większe trybuty z tych krajów, nędzaludu coraz to sroźsze przybierać będzie rozmiary.

Kiedy kapitał skończy tę swoją podróż naokoło świata niewiadomo, ale znaki czasu przepowiadają niedaleki jego skon. Do tych znaków należy coraz więcej uświadamiający się stan czwarty. Stan trzeci i czwarty — dzisiejsi kapitaliści i proletaryat — był pierwotnie jedną, niezorganizowaną cizbą zubożałych poddanych, lub zmienionych w służebną czeladź niewolników. Walka ich przeciw panującym podówczas klasom szlachcie i duchowieństwu rozpoczęła się najpierw w tych krajach, w których najpierw rozwinął się dzisiejszy kapitalizm. We Flandryi przed tysiącem lat Ludwik Pobożny tępił tajne stowarzyszenia poddanych, gildy z Gent. Wiele milionów ludzi zginęło w tej tysiącznej walce. Biskup „Jan bez Łaski“ kazał w przeciągu jednego tygodnia wymordować 40.000 ludzi w swem biskupstwie Lüttich. Jednej nocy mieszkańcy innego zuów miasta flandryjskiego spalili trzystu swych panów w kościele. Należący do cechów, wyrabiający się w mieszczaun robotnicy flandryjscy pobili króla francuskiego i 700 par ostróg zdobycznych stroi

do dziś dnia salę ratuszową w Gent. Pod Lignano upokorzyły cechy dumnego Barbarossę. Dwie potężne dynastye Hohenstaufów i Burbonów, a właściwie i Stuartów straciły tron jedynie dla tego, że sprzeciwiały się rozwojowi stanu trzeciego.

Dziś jest on wszechwładny w społeczeństwie i państwie. Odwiecznem jest w historii prawo walki klasowej i owo ewangeliczne: Ostatni będą pierwszymi. Miejsce dawnej szlachty feudalnej zajmuje bogaty kupiec. Tradycyjny „landlord i squire“, który Anglii przez tyle wieków dostarczał polityków, prawodawców i oficerów, znika prawie zupełnie, spychają go ze stanowiska lordy i księżęta. Któż dzisiaj wie o tem, że ich przodkowie kupezyli w Delft i Amsterdamie śledziami i czarnem mydłem, a w Liverpoolu czarnymi ludźmi.

To samo dzieje się w Niemczech i u nas w Polsce, boć i nasza arystokracja dzisiejsza powstała w znacznej mierze z kupców, handlarzy, ekonomów, czasami ze służebnej gawiedzi dawnych wielmożów. Dzisiejszy stan trzeci jest tego samego pochodzenia co i czwarty. Składa się ze szlachty z nowymi tytułami i burżuazji, która miała szczęście dojść w tym tysiącu lat do majątku i wolności.

Jak dzisiaj brat, radca dworu, wstydzi się swego rodzzonego ojca, trudniącego się kowalstwem w jakiejś mieścinie, tak stan trzeci wyparł się wspólnego pochodzenia z robotnictwem, opanował je społecznie i politycznie. Kapitalizm prowadzi dalej feudalne panowanie tem gorsze, że wywiera je nieosobowy kapitał.

Walka jednak trwa nieprzerwanie dalej; smutek i tęsknota, uczucie niepewności opanowało umysły fin de siècle. Jesteśmy wszyscy w oczekiwaniu jakiegoś wszechświatowego nieszczęścia, o którym wiadomo to jedno tylko, że bezmiar cierpienia sprawdzi na ziemię. Rdzeniem złego jest odchrześcijanienie świata, materialistyczna epoka, która rozpoczęła się z reformacją i wojną trzydziestoletnią, musi się stać materialistyczno-azyatycką, lub ustąpić miejsca innej. Kapitalizm zepsuł klasy posiadające, rozłożył je w grupy wzajemnie się bijące — chrześcijańska sprawiedliwość jest opuszczonym ołtarzem Boga nieznanego.

Świat a nawet Kościół zapomniał o nauce Chrystusa, występującego w obronie małych. Kwestyę chwili, socjalizm, można w dwojaki sposób zwalczać: albo przez sojusz z kapitalistami, albo połączenie z ludem. „Ja — tak powiedział na katolickim zgromadzeniu robotników w Touluzie hr. Albert de Mun — oświadczam się za sojuszem z ludem. Łączenie się z żydostwem i wysokim bankiem przyspieszyłoby tylko tryumf socjalizmu, którego gwałtów nie można na razie przewidzieć. Jeżeli mi kto zarzuci przesadę, odpowiem: Nie kapitału powinniśmy bronić, ale pracy. Nie jestem zdania, że kościół jest żandarmem w sutannie księdza, aby działać wśród ludu jedynie w interesie kapitału. Przeciwnie musimy budzić przekonanie, że Kościół działa zawsze w obronie słabych. Kiedy, potrafiemy lud przekonać, że kościół nie jest instytucją dla bogatych, że dla biednych zna tylko pociechę za grobem, wówczas spełnimy i myśl Leona XIII., wznawiającego tradycyę socyalnej działalności Kościoła“.

Berlińskie pismo: „Vorwärts“ przedrukowując tę wspaniałą mowę, dodało niestety zbyt prawdziwie, że żaden z członków katolickiego centrum nie miałby odwagi tak mówić, jak dawny oficer kawaleryi hr. de Mun. Uwaga to słuszna; kult mamony spodlił społeczeństwo, świat zżydział i skarłał.

Karol Wróblewski.



Socjalistyczne stronnictwa w Niemczech.

Trwało to stosunkowo bardzo długo, nim klasy robotnicze zdołały się zorganizować do wspólnej walki przeciw kapitalizmowi. Choć w Anglii Godwin i Owen dawno już podnosili głos w obronie robotników fabrycznych, wszakże ich mgliste teorie i filantropijne mrzonki nawet pomiędzy samymi robotnikami niezbyt życzliwe znajdowały przyjęcie. Tak samo działo się i we Francji. Robotnicy działali tu dla trzeciego stanu rewolucyjnie, popadli wszakże w rozterkę z nim, lecz do dziś dnia są na pasku burżuazji. Dopiero około r. 1830 budzi się w robotnikach francuskich i angielskich świadomość praw swych i celów.

Równocześnie znajdują nowe hasła socjalistyczne oddźwięk w Niemczech, choć wielki przemysł i z silnie rozwiniętym proletaryatem istniał tylko nad Renem i tu i ówdzie w Saksonii. Pojawia się broszura Weitlinga, czeladnika krawieckiego „Rękopis harmonii i wolności“ (Garantie der Harmonie und Freiheit), w której autor na zagadnienia społeczne zapatruje się ze stanowiska niezadowolonego z siebie i ludzi rzemieślnika. Między wieloma naiwnymi skargami napotykaemy i żale, że feryczne jedynaczki panów majstrów na czeladź patrzą z góry, skore zaś są do romanowania ze strojnymi głądyszami o nadobnym liczku.

Przedstawicielami poważniejszego kierunku byli Dr. Limig, Püttmann, H. Hess, K. Grün, choć i ci nie mieli pojęcia o fachowej znajomości ekonomii i tylko jako ludzie literacko wykształceni, frazesem chcieli dla fabrycznego proletaryatu lepszą wywalczyć dolę. Cały ten socjalizm i komunizm był towarem przemycanym z Francji i na razie przyczyniał się do uświadczenia klas robotniczych. Ferment już od początku działał rewolucyjnie. Komuniści starali się łagodzić skrajne swe zasady apostołowaniem chrześcijańskiej prawdy i miłości. „Paroles d'un croyant“ ks. Lamennais wsiąkły w społeczeństwo w kilkunastu tłumaczeniach. W. Marx opowiada, że jakiś komunista płakał głośno na rynku przed tłumem nad uporem ludzi, nie chcących uznać socjalizmu za świętą spu-

ściżnę po apostołach i ojcach Kościoła. Weitling w swej „Ewangelii biednego grzesznika“ po krawiecku ciał Pismo św. do swoich urojeń.

Faza ta nie trwała długo i wogóle jest to charakterystycznym, że wszystkie socyalne reformy do r. 1830 gruntowały się na chrześcijaństwie, tłómacząc je oczywiście po swojemu, jak ów „król Syonu“ Jan z Leydy.

Później ruch socyalistyczny wziął stanowczy rozbrat z chrześcijaństwem, oparł się na materyalistycznej nauce Darwina i Spencera i dopiero w ostatnim dziesiątku lat jego jeden prąd (Christlich-social) szuka łożyska w nauce Kościoła.

Na młode pokolenia niemieckie wywierał największy wpływ podówczas l'enfant terrible Hegla L. Feuerbach, wysnuwający z całej filozofii mistrza konsekwentny ateizm.

Hegłowska nauka o wszechwładzy państwa w teorii przynajmniej przedzierzgnęła się w anarchią, którą sławił Max Stirner jako ostatnią „kategorję rządów“. W wykładowej sali Hegla obok Engelsa siedział i Bakunin. Ci to młodzi filozofowie, łączący Boga, względem państwa usposobieni rewolucyjnie, doszli niebawem do wielkiego wpływu nad komunistycznymi robotnikami.

Rok 1848 natrafił tylko na słabe resztki dawnego religijnego komunizmu. Robotnicy, o ile są samodzielni, mają w tym czasie rewolucyjne usposobienie, organizują się w tajne stowarzyszenia, co już najlepszym jest dowodem ich słabości. Wszyscy w r. 1848 pokładali najsilniejsze nadzieje i jeżeli jeden z nich zawołał: „Jeżeli w dwóch latach nie przyjdzie do socyalnej rewolucyi, strzelam sobie w łeb“, to wypowiedział myśli i uczucia tysięcy. Rok 1848 zastał przy pracy także obu twórców naukowego komunizmu Karola Marxa i Fryderyka Engelsa, jak niemniej i za ojca nihilizmu Bakunina, który przez pewien czas był „królem Drezna“.

Pierwszy popęd do dalszego szerzenia się ruchu był dany. Przymus szkolny, zaprowadzony najpierw w krajach protestanckich, zmniejszył bardzo liczbę analfabetów, środkiem agitacyjnym były broszury, a zwłaszcza dzienniki. Przewodnictwo ruchu dostało się już wtedy w ręce wykształconych teoretyków, a stąd poszło, że literatura socyalistyczna już w owym czasie ma pewną naukową glazurę. Dobrem to było o tyle, że robotnicy byli zmuszani do poważnych refleksyj i zwolna mimo swej wiedzy przyswajali sobie spory zasób pojęć czysto naukowych. Także i klasa wykształconych, która wówczas była potężnym czynnikiem w Niemczech, a nawet cały świat urzędniczy był dla kapitału nieprzychylnie usposobionym. Wieści o niesłychanych nadużyciach fabrykantów angielskich, którzy w r. 1820 kupowali nieletnich podrostków z domu sierót i wyzyskiwali w sposób najokropniejszy; opowiadanie

tajemnic workhouse i głośny ów proces z r. 1840, z którego okazało się, że robotnicy zajęci przy tłuczeniu kości, z głodu je ogryzali — wszystko to wywoływało w Niemczech szczerę, serdeczne oburzenie. Późniejszy dyrektor biura statystycznego Hoffmann, pisał swego czasu do kanclerza pruskiego księcia Hardenberga (1817): „Podnoszę z uznaniem, że przemysł fabryczny wiele błogosławieństw przynosi oświacie i ogólnemu dobrobytowi, wszakże mam to przekonanie, iż organizm państwowy musi się imać środków zaradczych przeciwko złemu, płynącemu z postępu fabrycznej przemysłowości. Dla państwa nie może to być obojętną rzeczą, że we fabrykach, wprzęgających człowieka w jarzmo pracy szablonowej, znika jego wolność i godność osobista . . .“

Spółczesność ówczesna została pod wpływem filozofii, która odrywając człowieka od świata rzeczywistości, to jedno miała za sobą, że uczyła go myśleć swobodnie i subtelnie.

Kiedy się pojawiła książka Engelsa „O położeniu klas robotniczych w Anglii“ obudziło się w Niemczech tyle współczucia dla ciemniejących, że zbierano na ich rzecz nawet publiczne składki. Był to jeden z naiwnych, ale interesujących znaków czasu.

Kapitalizm w Niemczech, jak wszędzie, rozwielił się przy świadomej, a może i nieświadomej pomocy państwa.

Gdyby u steru stali wówczas ludzie z głębszym zrozumieniem ekonomicznych potrzeb narodu, rzecz przybrałaby zupełnie inną postać.

Wszystkie warunki były dane dla powstania pewnego rodzaju cesaryzmu socjalnego. Wyraz ten nie powinien nikogo gorszyć. Cesaryzm starożytny opierał się na społeczeństwie podzielonym na kilku optymatów i na tłum próżniaczy, żyjący z jałmużny państwowej. Dla obu klas pracowali niewolnicy, na barkach najemnego żołdactwa stał cesarz.

Dziś pracuje lud, zmieniły się role optymatów, nie masz ciężkich legionów, ale wojsko, rekrutujące się z ludu, rzecz można gwardya narodowa. W świecie starożytnym cesaryzm siłą rzeczy musiał wieść do wszechwładzy pretoryanów, dziś mógłby i musiałby być rzeczniakiem ludu, aby zdołał się sam utrzymać. Nie brakło też głosów, nawołujących króla pruskiego do wstąpienia na drogę reform socjalnych. Wpływy Heglowskiej filozofii państwowej były podówczas bardzo silne.

W r. 1840 wystąpił L. v. Stein ze swoją ideą królestwa socjalnego. Oto streszczenie jego doktryn: Państwo, uosobione w monarchę, jest pierwiastkiem wolności. Z natury rzeczy musi ono stać ponad wszystkimi klasami społecznymi, zostającymi z sobą we wiecznej walce o byt.

Pierwiastkiem i zasadą społeczeństwa jest interes materialny, w nim tkwi wieczna dążność do niewoli, bo posiadający starają się zawsze opanować biednych. Dla utrwalenia swoich zdobyczy, klasa posiadających stara się dostać państwo w swą moc; przychodzi stąd do walki między królestwem a społeczeństwem, albo społeczeństwo tron zwala, albo tron ujmuje je w rzyzy.

W ostatnim wypadku przychodzi do panowania i pozornego konstytucjonalizmu, w którym klasa posiadających i „wydziedziczonych“ działa znów dalej w imię swych interesów. Przeciwko jednemu i drugiemu państwu musi się opierać na wojsku, czego najlepszym dowodem wznagający się coraz więcej militarizm

W dwojaki sposób monarcha może powstrzymać ten naturalny rozwój społeczeństwa: albo je psuje, albo dźwigając i podnosząc niższe klasy, rozpoczyna dzieje królestwa socjalnego.

L. v. Stein nie był jedynym rzecznikiem tych idei, do których można ostatecznie sprowadzić i socjalistyczne mrzonki Rodbertusa. Rodbertus i v. Thünen żyli w czasie nagłej zwyczajki w cenach zboża, mimo że płaca robotnika nie zmieniała się zgoła. To zjawisko naprowadziło p. v. Thünen do zastanawiania się nad „zapłatą sprawiedliwą“. Za wpływem Sismondi'ego rozszerzył swój program o zagadnienie: Jak wielkim powinien być udział robotnika w produkcji jego pracy.

Socjalne te poglądy podzielał także założyciel „Kreuzzeitung“ Hermann Wagener i biskup Ketteler, który im pozostał wierny aż do śmierci. Wówczas znalazł się, a raczej znaleziono Lassalle'a, którego Bismark początkowo używał, aby klasy robotnicze przeciwstawił kapitalistom nadrenńskim.

Jak ów czarodziej z bajki, umiał Bismark tchnąć życie w miotłę, ale nie znalazł już słowa czarodziejskiego na to, aby stanęła znów spokojnie w kącie. Bismark chwycił się środków stanowczych, aby rozbudzony ruch robotników uczynić nieszkodliwym. Nastąpiły zacięte prześladowania robotników, nastąpiły tak zwane prawa wyjątkowe, tysiące rodzin robotniczych wygnano z kraju, tysiące innych przyprowadzono do nędzy. Socjalna demokracja wszelako wzrosła tylko przez to w siłach i stała się jeszcze więcej rewolucyjną i to nie w rozumieniu Bakunina i romantyków rewolucyjnych, ale rozważną, spokojną bez chorobliwej gorączki i niedorzecznego entuzjazmu. Bismark poznał, że z ludźmi idei nie można walczyć tą samą bronią, co z kapitalistami, że wszystkie jego wysiłki zmieniają robotników w potęgę rewolucyjną, tem silniejszą, że dobrze zorganizowaną.

Mieszczanin niemiecki nie zmądrzał od lat dwudziestu, kiedy to żartowano sobie w najlepsze ze socjalnej demokracji.

E. Richter pisze od czasu do czasu broszury przeciw niej i to cała walka. Burżuazya ciągle się mami złudzeniami, że socyalni demokraci zjedzą się w kłótniach wzajemnie. Ilekroć wśród socyalistów, jak w każdym wielkiem stronnictwie, przyjdzie do rozdziwienia, ilekroć na jakim wiecu przy namiętnym charakterze uczestników zdarzy się jaka scena, gaudium wielkie w obozie burżuazyi, po dzienoiakach sypią się telegramy za telegramami i sążniste artykuły z przepowiedniami, że za rok, dwa już będzie po socyalizmie. Socyalna demokracya wyróżnia się tem od wszystkich innych stronnictw, że to partya robotnicza, stronnictwo, idące teraz zawsze naprzód, kiedy inne klasy mieszczańskie, jak to okazały wybory z r. 1893, popadły w fazę rozkładu.

Dzisiejsi socyalisci istotnie mówią prawdę, zaręczając, że dalekimi są od wszelkich rewolucyj i nie mają zamiaru zbaczać z dróg prawnych.

Na cóżby się im zresztą zdały wszelkie rewolty. Jeżeli rzeczy pójdą dalej swoim trybem, w krótkim czasie mieć będą za sobą większość narodu i wojska. Kto ma wojsko i naród za sobą nie potrzebuje rewolucyi, ale zmusza przeciwnika do układów z sobą.

Wiedzą oni doskonale, że wobec dzisiejszego systemu broni garstka robotników stawac koźlem nie może, nawet gdyby część robotników, jak to już raz działo się w Belgii strzelała za wysoko. Na ulicach dzisiejszych miast stołecznych szerokich a długich, barykady od jednej kuli działowej rozleciałyby się jak czerepy garnka.

Socyalna demokracya, świadoma celu, wyczekuje swojej godziny, którą przepowiadał Karol Marx i dopiero wtedy prawdziwie byłaby gotową wywiesić czerwony sztandar, kiedy olbrzymie armie państw europejskich, wyczerpane długą wojną, popadną w rozprężenie, narody uciśnione niczego pragnąc nie będą, prócz śmierci. Wtedy dopiero — tak mówią socyalisci skrajni — nastanie dzień sądu na burżuazją, nastąpi ów powszechny strejk, zgasną lampy gazowe, braknie chleba w piekarniach, padną słupy telegraficzne, runą mosty, po zerwaniu szyn ustanie komunikacya.

Nie wykluczając tej ostatecznej możebności, socyalisci ograniczają się dzisiaj na ekonomicznej walce przeciw kapitalizmowi.

Sam liczebny wzrost stronnictwa daje najlepsze pojęcie o wzmagającym się jego wpływie na koleje państwa.

Statystyczne wykazy wyborów do Rady państwa wykazują, że najważniejsza, poniekąd macierzysta grupa dzisiejszej socyalnej demokracji liczyła 1867 r. 25.000, 1871 r. 40.000 głosów. Lassalleanie byli nieco silniejszymi, obie wszakże partye socyalistyczne w r. 1871 nie wydały więcej wyborców nad 120.000.

Liczba ta w r. 1874 skoczyła już do 339.733, w r. 1878 do czterokrotnej cyfry początkowej, 481.008. Prawa przeciwko socyalistom przeszkodziły dalszej organizacyi, kiedy wszystkie stronnictwa i rząd był przeciw nim, liczba przyznających się do przekonani socyalistycznych przy urnie wyborczej wynosiła w r. 1879 420.662, a w dwa lata później już tylko 335.007. Mimo wszystkich prześladowań doktryna szerzyła się dalej, książkę Bismark i konserwatywni z przerażeniem czytali, że mimo panowania praw wyjątkowych wybory z r. 1884 wykazały 507.798 socyalistów, z r. 1887 aż 763.128.

Bismark myślał już o zaostrzeniu istniejących praw, kiedy nastąpił nagle jego upadek, w r. 1890 oświadczyło się za socyalizmem 1,323.000 mężów jak jeden, w r. 1893 stanęło do wyborów w zwartej falandze 1,700.000. Jeżeli doliczy się do nich antysemitów, którzy są tylko awangardą socyalizmu, to obie partye liczą okrągłych 2,000.000, a więc $\frac{2}{7}$ ogólnej cyfry wyborców w Niemczech.

Klasy zaatakowane socyalizmem pocieszają się uroczystemi zapewnieniami Dra Schäßfle i innych podobnych mu pisarzy, że program socyalno-demokratyczny jest nie do wykonania. Oczywiście tak nazwaćby można wiele też Bebla, wyłożonych w jego dziele „Frau“. Stosunki własnościowe, uczą tego dzieje, podlegać mogą zmianom. Kodeks napoleoński i następujących królów francuskich dawał zupełną gwarancję stosunkom własnościowym, stworzonym przez rewolucję francuską i rewenanci nie zdołali nic więcej wykołatać nad małe odszkodowanie za skonfiskowane swe majątki. Choć żądanie równego wszędzie czasu pracy i owa produkcya spółek okazuje się w doświadczeniu niemożliwą, socyalisci nie tracą przeto wiary w możliwość państwa, zbudowanego na zasadzie sprawiedliwego ocenienia pracy. Oczywiście takie państwo wolność osobistą wzięłoby bardzo w karby, ale ograniczanie samowoli i swywoli istnieje w każdym organizmie społecznym.

Pragnienie wyniesienia nad drugich, wrodzone sercu ludzkiemu, mogą dzisiaj urzeczywistnić tylko ci, co posiadają majątek; proletaryusz duchowo wyższy, z błyskiem geniuszu na czole w walce o palmę pierwszeństwa z pieniężnym przeciwnikiem zawsze zostanie zwyciężonym.

W przyszłym państwie socyalno-demokratycznym w pierwszej linii upaństwowioną byłaby szkoła, prasa oddana szczególniejszej pieczy rządu. Tak czynią wszakże wszystkie stronnictwa, ilekroć dobędą się z walki klasowej na wierzch.

Cenzura gazet istnieje od Juliusza Cezara, książek od czasów papieża Innocentego III. W czasie wszechwładnego despotyzmu sprawowali ją panowie terytoryalni.

Któż może nam ręczyć, że nasi wnukowie nie będą czytali na pierwszej stronie: „Z pozwoleniem jednej międzynarodowej rzeczypospolitej“, jak my dziś na okładce foliałów z 16. i 17. wieku czytamy: „Cum regio privilegio“. Wszystkie stronnictwa nie ze-psute, a więc przekonane o swej żywotności wychodzą z założenia, że ich doktryny są prawdziwe, że zatem piszący inaczej zasługują na karę. Dzieła takich autorów idą na indeks, bo dogmat stronnictwa zachowany musi być przymieszki błędu. Mahometanie spalili wszystkie dzieła treści świeckiej, wychodząc z założenia, że albo zawierają to, co jest już w koranie, a więc są zbyteczne, albo mieszczą nauki przeciwne, a więc jako szkodliwe niszczyć je należy.

Nieubłagany, a jednak konieczny ten fanatyzm dostrzegać już teraz daje w zawiązku „Kapitał Dra Marxa“, wśród socjalnej demokracji ma znaczenie biblii lub koranu, cała jej literatura nowsza jest tylko glossą zasadniczej tezy.

Prawdziwy znawca ekonomicznych stosunków i ich faz w dziejach ludzkości nie nazwie socjalizmu ostatnim wyrazem ludzkości, ale tylko stanem pośrednim do uchrześcijanienia świata.

Socjalizm jako teoria gruntuje się korzeniami swymi w materjalizmie i w dążnościach swych pozostanie zawsze przeciwnikiem Kościoła, „tej kolumny i utwierdzenia prawdy Bożej na ziemi“. Dlatego ruchem socjalnym kierują do dziś dnia żydzi, dlatego żydzi sformułowali go w doktrynę, mającą okupić ludzkość z cierpienia, bo naród żydowski wykarmiony i wychowany w materjalistycznym talmudzie, w jedynym socjalizmie znajduje grunt swej pozytywnej religii z kabalistycznie przekrzywionymi pojęciami mesyanizmu. Zjawienie się antysemityzmu, rozwój coraz to szybszy stronnictwa chrześcijańsko-socjalnego, wreszcie wewnętrzne wyrabianie się socjalnej demokracji nie wyklucza możebności, że z czasem zbliży się ona więcej do katolicyzmu i zmieni narody w rzeszę katechumenów. Kto wie, czy z przyszłymi pokoleniami Kościół nie będzie miał więcej punktów stycznych, niż z dzisiejszem, wychowanem w kulcie złotego cielca i w jednej wierze w używanie.

K. W.



Strona rzemieślnicza w malarstwie.

Jeden z najzdolniejszych i najwięcej wrażliwych malarzów naszych, Jacek Malczewski, przelał całe swoje jestestwo w osobę, czy też ducha chłopca, malarczyka pokojowego. Artysta ten odbiera swoje wrażenia za pośrednictwem takiego medium. Kiedy mu parę lat temu zarzucano, że za mało pracuje, za mało tworzy, a równocześnie dawano do zrozumienia, jak wiele posiada błędów w swojej technice szorstkiej i zanadto dekoracyjnej, Malczewski odpowiedział na to obrazem.

W ogrodzie przy ścieżce siedzi na ławce terminator pokojowego malarza i patrzy przed siebie wzrokiem, w którym czyta się całą jego przeszłość i nadzieje przyszłości. Obraz ten nosił tytuł: „Introdukcya“.

Nie zrozumiano go. Ale rozumiał go sam autor i fantazyę swoją rzucił w licznych motywach na płótno, znacząc od tego czasu nowy kierunek w swoim artystycznym życiu. W obrazach jego — spotykamy się często z owym chłopakiem, ma on przedstawiać duszę samego artysty, jego ja.

Wspomniałem tu dlatego tylko tę anekdotę, ponieważ nasuwa mi ona myśli bardzo ważne co do strony rzemieślniczej malarstwa, względnie całej sztuki. Malarz pokojowy, dekoracyjny, tak zwany „majster“ uważany jest u naszej publiczności za prostego rzemieślnika, a między młodzieżą artystyczną za wstrętnego epigona, który każdemu miernemu talentowi jest sołą w oku. Każdy kamieniarz, ornamencista jest również chodzącym wyrzutem sumienia dla przeciętnego, lichego figuralisty. Dlaczego? Dlatego, ponieważ w Polsce zakorzeniła się pogarda dla wszystkiego, co jest rzemiosłem i prawdziwą pracą, dlatego, że najmarniejszy malarz lub rzeźbiarz, mordujący najlichsze bohomyzy, uważany jest za coś lepszego od „dekoratora“ i mieni się „artystą“! Kiedy przed laty piętnastu, w Szkole Sztuk pięknych Krakowskiej było wprost przepelnienie

nie przyszłymi Matejkami i kiedy niektórzy zatrzwożyli się tą hyperprodukcją możliwego proletaryatu, to wice-dyrektor Łuszczkiewicz uspokajał ich twierdząc, że jeżeli nie będą artystami, to szkoła pomoże im do zostania malarzami pokojowymi, dekoratorami i litografami. Znakomity pedagog pomylił się — ci, którzy mieli talent, poszli uczyć się za granicę, a ci co go wcale nie mieli, nietylko że szkoły dla dekoratorstwa nie porzucili, lecz siedzieli w niej niezliczone lata i dzisiaj tworzą ów artystyczny proletaryat Krakowa, odznaczający się nędzą, biedą, niekoleżeństwem i zawiścią do wszystkiego, co się nazywa talentem i pracą, oraz do każdego, który tymi dwoma czynnikami — niezbędnymi dla zostania artystą — dobił się imienia i stanowiska!

Nie każdemu młodemu człowiekowi napisano wyraźnie na czole: „geniusz“, nie każdy odrazu wszystko umie. Można jednak i powinno się każdemu dać w rękę fach. Jeżeli ktoś chce być malarzem, a urodzeniem swoim nie zdobył prawa do majątku swego bogatego ojca, dla tego najlepszą szkołą będzie zawsze praktyka. W razie wykazania się braku danych do zdobycia ideałów sztuki, artystycznych wyżyć, będzie on miał zawsze sposób bycia społeczeństwu użytecznym jako dobry i porządny rzemieślnik. Posiadając talent i fantazję, nie straci jej w praktyce, przeciwnie nawet, zdobędzie w niej tyle wprawy technicznej, że daleko prędzej dojdzie do zamierzonego celu. Każda bowiem szkoła, czy akademія posiada w sobie zarodki manii wielkości i biada temu, który je w siebie wchłania. Większość naszych artystów narażona jest na niedostatek, ponieważ nie ma wyobrażenia o technice sztuki dekoratorskiej, u nas rzeczywiście bardzo zaniedbanej, a nawet zupełnie ignorowanej. W Krakowie, gdzie ongi swojego czasu istniał sławny „cech“, dzisiaj trzeba było sprowadzać Niemca do malowania kościoła Maryackiego, a dekoracje teatralne zamawiać w Wiedniu. Pamiętam, że było strasznie wiele hałasu przy malowaniu tego kościoła, nawet uczniowie ze Szkoły Sztuk pięknych chcieli gwałtem malować „freski“, a najlepsi, najbardziej genialni wzięli się rzeczywiście do tej roboty. W kilku atoli dniach pokazała się tutaj cała nieporadność i nieudolność „akademika“ obznajomionego z płótnem i papierem, ale nie mającego wyobrażenia o ścianie tynkowanej — rozrabiającego farby na palecie, ale nie umiejącego wyciągać je z garczka i nie mogącego ocenić, o ile tonów będzie różnica między farbą wilgotną, a wyschlą! I do tego jeszcze farby inne jak olejne.

Ci zaś, którzy odbywali kiedyś przed szkołą praktykę — nie wymieniam dlatego, ponieważ mogą się o tę „praktykę“

obrazić — ci malowali szybko i dobrze i wreszcie ściągnęli na siebie zawiść innych, którzy w końcu porzucili próbę i wrócili do swego płótna. A cóż było później z teatrem? Na naradach wszyscy chcieli być dekoratorami, chodziło bowiem o zamówienie na 24.000 złr., a kiedy byłem na tyle nierozsądny i w jednym z fejetonów za cytowałem parę artystów zdaniem mojem mających talent na dekoratorów — bo i do tego trzeba go posiadać — to spadł na mnie taki deszcz wymyślań i żalów, że nie wiedziałem, jakimi słowami przeproszać obrażonych geniuszów „historycznego malarstwa“. I naturalnie dekoracye po latach dwóch rada miejska zamówiła w Wiedniu. Pisano potem jakąś broszurkę, protestowano, ale było to wszystko post festum i kiwaniem palcem w bucie, bardzo u nas praktykowanym.

Malowanie na rusztowaniu i na ogromnej płaszczyźnie, odmiennemi od olejnych farbami, potrzebuje osobnej wprawy i praktyki. Malarz, posiadający ją z warsztatu od majstra, słuchał przez cały ciąg nauki o miarach i rachubach, widział, jak długo inni malowali pewną ilość kwadratowych metrów, ile kilogramów farby na to spotrzebowano i gdzie najtaniej można je nabywać. Wie przytem, jakiego potrzebuje rusztowania i jak je należyce skonstruować. U nas kilku wie o tem.

We Francyi malują freski zwykle na płótnie, nie na tynku, a to dlatego, ponieważ tam wszystkie monumentalne budowle zestawiają z kwadrów kamiennych. Używają także farb olejnych, które do tego sposobu malowania się nie nadają, gdyż się świecą, wskutek czego patrzący może tylko pewną część obrazu dobrze widzieć, a z czasem farby te fatalnie czernieją. Przeciwnie zaś farby wodne dają daleko jaśniejszy ton i nie świecą, przytem nie czernieją, a przy wprawnem używaniu są nawet o wiele trwalsze od olejnych. Pomimo tych zalet, farby wodne (klejowe) są nielubiane przez artystów, którzy otrzymali wykształcenie tylko akademickie, a głównie z powodu obawy przed trudnościami technicznymi przy używaniu nieznanego sobie i bądź co bądź w użyciu trudniejszego materiału. Malarz pokojowy, nawet taki, co najwyższego szczebla swej przemysłowej sztuki nie dosięgnął, niema strachu przed trudnościami technicznymi. Wprawił się bowiem od młodości do farb klejowych, studia swoje malował farbami kaseinowemi, lub a tempera, a umie użyć i daleko łatwiejszych w użyciu olejnych.

Przedewszystkiem jednak, śmieje się on z broszur pouczających o różnorodnych sposobach malowania, mając swoje własne wypróbowane w praktyce recepty.

Największej sztuce nawet, toruje drogę pewną i prostą — rzemiosło.

W ostatnich czasach, tak jak w rysunku aquafortowym, zaczęli i farbami klejowymi malować „moderniści“. Hiszpanie, Włosi i Niemcy uczą się „praktyki“, modernizując to, co w wieku Odrodzenia było przyjętym zwyczajem i obowiązkiem. Artysta powinien bowiem umieć wyzyskać swoją sztukę we wszystkich jej kierunkach i powinien jednak znać sposoby na jej wyzyskanie. A tego nie uczy Akademia, ale zwykła praktyka, która go trzyma w otoczeniu najzwyklejszej pracy i zarobku kawałka codziennego chleba. Artysta, umiejący zarobić na potrzeby swoje i sztuki, może dopiero dla sztuki coś zrobić. Niestety między nami jest dlatego tak wielu zdolnych, a walczących z niedostatkiem artystów, ponieważ nie umiemy zarabiać.

Roman Lewandowski.



O pracy i sztuce pracowania.

Chociaż dzisiaj tyle się zwykło pisać, mówić, śpiewać i deklamować „o majestacie, wartości i potędze pracy“, choć owo stereotypowe wyrażenie „praca organiczna“ stało się hasłem naszej polityki porozbiorowej i ma być jedyną kotwicą zbawienia naszego w przyszłości, to jednak we wszystkich warstwach społecznych, a podobno i u nas w Polsce w znacznej mierze ujawnia się powszechna dążność, aby w życiu o ile możliwości najmniej i najkrócej pracować, resztę zaś żywota w błogosławionym spędzić spoczynku. Samo zachwalanie jednak pracy, do czego każdy skłonny bywa, nie dodaje zgola do niej ochoty. Dopóki brak zamiłowania do pracy, powiedziałbym, obawa przed nią, jest jednym ze znaków czasu, dopóki każda jednostka starać się będzie praktycznie uciec przed pracą, teoretycznie zachwalaną i wielbioną, nie byłoby rady na wszystkie choroby wieku. Serce ludzkie tęskni do spokoju; religia i fantazja na określenie pozagrobowego, szczęśliwszego żywota nie znalazła innego wyrazu nad: „wieczny odpoczynek“.

Po wszystkie czasy i w każdym pokoleniu ludzkim mała tylko garstka może wieść życie prawdziwie „godne człowieka“ i w tem właśnie tkwi całe przekleństwo pracy, że ci szczęśliwi wybrańcy losu wprzegają bliźnich swych w jarzmo pracy i całe szczęście ich osobiste jest sumą cierpień i wyzyskiwania drugiego. To też pisarze starożytni pracę kładą na równi z niewolnictwem, a i w naszym stuleciu obywatele rzeczypospolitej francuskiej, wyrosłej na zasadach wolności i równości i braterstwa z duchowieństwem na czele i z biblią w ręku bronili tezy, że pewne klasy społeczne są skazane po wieczne czasy na dziedziczną pracę dla drugih.

Cywilizacja jest wykwitem bogactwa narodu, bogactwo powstaje ze skupiania kapitału, kapitał wyciska się z pracy robotnika, nie otrzymującego słusznie należącej się mu zapłaty. Oto są zdania, wysuwane zawsze na pierwszy plan, to szachownica do gry w kwestyę socyalną, w której pionki szachują wieże i królów, ale w końcu padają, a zyskują gracze.

Gdyby jednak wszyscy należycie pracowali, byłaby tak zwana kwestya socyalna rozwiązana, bo ostatecznie inaczej jej rozwiązać nie można, jak tylko przez pracę.

Drogą państwowego czy gminnego przymusu do pracy celów takich osiągnąć nie można, a nawet gdyby istniały środki zmuszania wszystkich przeciwko wszystkim, nie mogłoby być mowy o działalności skutecznej.

Ostatecznie więc chodzi o to, jak w człowieku obudzić ochotę do pracy i to właśnie powinno być myślą przewodnią i treścią każdej zdrowej pedagogii. Zamiłowania do pracy inaczej nabrać nie można, jak tylko przez doświadczenie i rozwagę, nigdy przez naukę, ani nawet przez przykład drugiego.

Doświadczenie uczy, że odpoczynek nie polega w największej bezczynności ducha i ciała, ale raczej w należnym uporządkowaniu i działalności władz duchowych i fizycznych człowieka.

Jak z budowy oka wywnioskować można, że stworzonym jest do przejmowania wrażeń świetlnych, jak dobry anatom z układu kości metodą przystosowania pozna, czy środowiskiem bytu i rozwijania się zwierzęcia był ląd, powietrze, czy woda — tak znawca natury ludzkiej wie, że jest stworzoną do pracy, że praca ma być jej żywiołem, środowiskiem i koniecznym warunkiem bytu.

Natura mści się na człowieku srodze, ilekroć pragnie samowolnie zadać gwałt swemu przeznaczeniu. Odpoczynek więc rzetelny powstać może tylko wśród samej czynności i jest dalszym jej wątkiem.

Kiedy rzeźbiarz odłoży dłuto i z założonemi rękoma patrzy na rys uwieczniony w marmurze, odpoczywa. Ale wytchnienie nie jest bezmyślnem; jest to także praca, ale praca innego rzędu, to duchowe rozkoszowanie się widokiem postępu i opanowania przedmiotu.

Codzienny sen i posiłek smakuje nam tylko wówczas, kiedy jest snem i posiłkiem „dobrze zasłużonych“, w takim też tylko razie niedziela wydaje nam się prawdziwą oazą wytchnienia. Stan pracy ciągłej i poważnej jest właściwie najszcześniejszym i o innym szczęściu człowiek nawet marzyć nie może.

Każda czynność, jeżeli tylko nie jest szczerą zabawką, przez pogłębienie jej staje się zajmującą — nie rodzaj czynności daje szczęście, ale zadowolenie z tworzenia i skutku pracy.

Najwyższem nieszczęściem człowieka, to życie bez pracy i bez jej owocu na starość. Dlatego też każdy człowiek ma prawo do pracy i to prawo jest święte, ono jest podstawą wszelkich innych praw ludzkich.

Ludzie bez pracy są istotnie największymi nieszczęśliwcami pod słońcem, a tych daleko jest więcej w tak zwanych wyższych

klasach społecznych, niż w niższych, partych do pracowania samą koniecznością głodu.

Daleko więcej jednak pożałowania godni są ci, których wychowanie, przesady, powszechne obyczaje skazują na dziedziczne, beznadziejne próżnowanie. Wewnętrzna swą czczość i nudę rok rocznie wloką w najpiękniejsze okolice górskie, zmieniają je w szpitala chorych duchowo, pędzą życie w wagonie i ustawicznej podróży i szukają spokoju we wszystkim i wszędzie, nie mogąc go znaleźć nigdzie, bo nie chcą szukać go w pracy. „Sześć dni będziesz pracował“, ni mniej ni więcej — oto recepta na wszystkie nerwowe choroby, o ile nie są przekleństwem pochodzenia od rozdenerwowanych próżniactwem rodziców. Życia wogóle niema się używać, ale należy je spędzać pożytecznie, nie zabawa ma być jego treścią, ale praca i dlatego nie bez głębokiej prawdy w starej polszczyźnie zabawa była równoważnikiem zajęcia i rzemiosła. Kto tego nie poznaje, ten stracił już zdrowie duchowe i niepodobna, aby i cielesne zachował w mierze należnej.

Oczywiście koniecznem jest tu pewne zastrzeżenie.

Nie każda praca jest jednakową, wiele jest zajęć pozornych, obliczonych na efekt i rodzących się z chęci wywołania efektu. Do tych należy sporo zajęć kobiecych, sport, „administrowanie“ własnym majątkiem i dyletanckie oddawanie się „sztuce“, marnowanie czasu nad fortepianem.

To też jest powodem, dlaczego praca mechaniczna i cząstkowa tak mało daje zadowolenia wewnętrznego, dlaczego rzemieślnik lub wieśniak o wiele jest szczęśliwszym od robotnika fabrycznego, przez którego niepokój wszedł w świat.

Za mało widzi on skutku swej pracy, maszyna właściwie działa, on sam jest tylko podporządkowanym jej narzędziem. Pomaga maszynie w wycięciu, lub odrzuceniu gotowego już kółka lub sprężynki, nie wykonuje zaś zegarka, który jest dopiero godnym produktem ludzkiej pracy.

Dlatego czysto mechaniczne zajęcia uwłaczają godności człowieczej i wywołują gorycz tylko i niesmak.

Przeciwnie najszczęśliwszymi robotnikami są ci, którzy jak artyści mogą się wpiąć myślą w swój przedmiot, nie widzą poza nim niczego więcej, jak uczeni i „oryginały“ wszelkich odcieni, umiający nawet w najciaśniejszym zakresie pracy stworzyć sobie mały swój światek.

Wszyscy ci mają przekonanie — przedmiotowo czasami nawet mylne — że pracują z pożytkiem dla świata. Wielu z nich przy czynności narażającej nieraz na ciężki szwank siły, dochodzą do późnego wieku, kiedy tysiące osób bogatego, z zasady nie pracującego świata, zawsze musi łątać i łątać nadszargane zdrowie.

W świecie dzisiejszym przede wszystkim musi być rozszerzoną zasada i przekonanie, że praca celowa jest konieczną do utrzymania zdrowia wszystkich ludzi bez wyjątku, że jest rękomią i zadatkami ich szczęścia. Zatemby poszło i to, żeby próżniaków z powołania nie nazywano klasą lepszą i dystygowaną, ale czeredą ludzi niedojrzałych i duchowo chorych. Przywróconoby i pracy zatracony jej majestat i godność, człowieka nie sądzonoby według jego stosunków majątkowych, ale w miarę zdolności i w miarę wartości jego pracy. Dopóki te zasady nie przejdą w zwyczaj i nie staną się wyrazem powszechnego, silnego przekonania, nie może być mowy o zmianie stosunków na lepsze i o zbliżaniu się szczęśliwszej jakiejś ery dla ludzkości. Dotychczas przyczyną jej cierpienia jest praca nieodpowiednia dla jednych, nie wystarczająca dla drugich, a prawdziwie wielkim jest pytanie, co z dwojga złego jest gorszem . . .

Praca jest sztuką i jak każda sztuka ma swe tajemnice. Dlatego nie wystarczy chcieć pracować, ale trzeba nadto umieć i zdołać.

Aby mózgi pracować, trzeba przede wszystkim zwalczyć największą do tego przeszkodę — lenistwo. Każdy człowiek z natury swej jest leniwym i tylko z trudem pewnym wznosi się nad życie zwykle, zmysłowo bierne. Największym naszym występkiem i kórczeniem wszystkiego złego jest lenistwo do dobrego. Ludzie z natury swej pracowici nie istnieją zgoła, są tylko usposobienia mniej lub więcej żywe. Ale i najwięcej ogniste temperamenty, idąc jedynie za upodobaniem natury, przeniosłyby zabawę nad pracę.

Pracowitość powstać może tylko z silniejszego motywu, niż ze zmysłowej beczynności i ten bodziec do pracy może być dwójakiej natury. Albo powstaje z namiętności, chęci zysku i sławy, względnie z konieczności; albo też jest wyższym, pochodzącym z poczucia obowiązku i miłości, bądź to do pracy samej, bądź też do ludzi, dla których się pracuje.

Szlachetniejsze pobudki są o tyle lepsze, że nie tracą nic na sile wobec nieudałych wyników pracy, łatwiej wytrzymują pokusy zniechęcenia i przesyty. Dlatego zarozumiali i chciwi bywają wprawdzie czasami bardzo pilnymi, rzadko jednak znamionuje ich wytrwałość. Prawie zawsze zadawalniają się samym tylko pozorem pracy, jeżeli im dobre daje rezultaty. O innych zwykle mało, albo zgoła nie myślą.

Gdyby kto chciał dać prawdziwie poważną radę młodemu, wstępującemu w życie mężczyźnie, nie mógłby znaleźć innej lepszej nad tę: Pracuj z poczucia obowiązku i z miłości ku jakiemuś przedmiotowi lub osobistości.

Kto zespoli się duchem z jaką wielką sprawą ludzkości i ukocha wzniosłą ideę wyzwolenia narodów, rozszerzenia katoli-

cyzmu, podniesienia klas niższych, reformy wyborczej — przypuścimy nawet — zniesienia kary śmierci, ten w tej idei znajdzie bodziec do ciągłej dalszej pracy. W dzisiejszych cywilizowanych narodach nie powinno być ani jednego młodego człowieka, któryby nie hołdował jakiejś wielkiej ogólnoludzkiej idei i nie był szeregowcem armii, walczącej w imię jej. To jedynie podnosi człowieka i daje hart, że zapomina o sobie i nie dla siebie tylko żyje. Egoizm jest zawsze słabością i tylko poziome, słabe tworzy charakter. Potęga przyzwyczajenia jest także skutecznym lekarstwem przeciw ociężałości i lenistwu.

Dlaczego więc nie mielibyśmy używać i tej siły, pozostającej zawsze w usługach naszej grzesznej natury. Do pracy można tak samo się przyzwyczaić jak do lenistwa, przyzwyczajenie uczy tak samo oszczędności, prawdomówności, umiarkowania, jak i marnotrawstwa, obłudy, rozpusty. Można iść nawet dalej i utrzymywać, że żadna cnota ludzka nie jest zapewnionym dobytkiem, dopóki nie stanie się nawycką, a raczej drugą naturą. Zwolna przyzwyczajamy się do pracy, opór lenistwa słabnie i maleje, a w końcu życie pracowite staje się potrzebą człowieka.

Jest kilka forteli, którymi ułatwia się drogę do pracowania z przyzwyczajenia. Przedewszystkiem trzeba umieć zacząć. Najtrudniejszą rzeczą jest zabrać się do pracy; kto raz już ma pióro lub siekiere w rękę, kto już napisał pierwszą literę, pierwsze rozłupał polano, dla tego cała praca stała się już o wiele lżejszą. Ludziskom zwykle czegoś brak do rozpoczęcia, marnują czas na samych przygotowaniach, dopóki ich do pracy nie zmusi konieczność, która wywołując duchową, czasami nawet i fizyczną gorączkę, niszczy spokój i rozważę, tak cenną w każdej unormowanej systematycznej pracy. Inni znów czekają na jakieś szczególne natchnienie, nie pomnąc, że właśnie czas pracy jest godziną dobrych natchnień. Kto tylko pogłębia pracę, przekonuje się, że nigdy nie ma w spoczynku tyle płodności, co właśnie w pracy samej. Nie należy jej więc nigdy odwlekać, ale zawsze pewien oznaczony ściśle czas poświęcać pracy, o ile jakaś rzeczywista przeszkoda, czy rozstrój duchowy istotnie nie stauię nam w drodze.

Bardzo wielu traci czas i ochotę do pracy przez chyby w podzieleniu, a w szczególności autorowie zwykli się gubić we wstępach. Dlatego też przedmowę i tytuł należy zawsze układać na końcu i bez jakiegokolwiek praeambulum wprost przystępować do rzeczy. Książki, w których przedmowy bywają najlepszymi, przez się już nie są warte.

Dobrze jest rozpoczynać od rzeczy najłatwiejszych, ale byleby tylko rozpocząć.

Człowiek ma niebezpieczny dar wyobraźni, przedstawiającej całą pracę jako quantum do zrobienia naraz za jednym zamachem, kiedy człowiek sprostać mu może powolnie i zawsze nowych sił zaczerpywać musi. Pracować więc trzeba tylko za dzień dzisiejszy, jutro przyjdzie samo przez się, a z niem i nowa siła. Dość musi biedzić się człowiek dźwiganiem ciężaru dnia jednego, pocóż mu kłopotać się całą przyszłością. Nie troszcz się o dzień jutrzejszy, wszakże i to „dziś“ nazbyt jest mozolne.

W duchowej pracy dobrze starać się o dokładność, ale niedorzecznem jest pragnienie wyczerpania tak swego przedmiotu, iżby o nim więcej już ani czytać, ani powiedzieć nie można. W dzisiejszym stanie nauki pragnienie takie jest niepodobnem do urzeczywistnienia i dlatego zwyczajnie, kto za wiele chce, za mało urzeczywistnia.

Rozpocząć pracę można i bez ochoty, ale w toku jej trzeba się starać o świeżość i zapał. Kiedy następuje pewne znużenie, nie należy wprost rzucać pracy, bo często pewna zmiana zajęcia działa tak samo orzeźwiająco, jak i wypoczynek. Aby mózdz wiele pracować, trzeba oszczędzać sił. Praktycznie dzieje się to, że nie marnujemy sił na zajęcia niepotrzebne, na które poprostu szkoda „czasu i atłasu“. W pierwszej linii liczę w to czytanie dzienników, nadmierną działalność polityczną i ową ruchliwość w stowarzyszeniach. Człowiek, który chce wiele pracować, musi unikać wszelkiej pracy nie użytecznej i siły swe zachowywać na to, co jest jego właściwym przedmiotem i celem.

Kto nauczył się sztuki pracowania i kto istotnie umiejętnie pracuje, ten dopiero rozumie, co jest wytchnienie i spoczynek. Spoczywanie bez pracy jest tem samem, co jedzenie bez apetytu, tylko człowiek pracujący rzetelnie, dochodzi do przekonania, że najprzyjemniejszym, najrentowniejszem i najwięcej duchowo zaspakajającym spędzaniem czasu jest właśnie — praca.

Ale skąd się wzięła ta apologia pracy właśnie w naszym piśmie. Zdaje mi się, że stało się to nie bez głębokiej przyczyny.

Jak rzeczy dzisiaj na świecie stoją, przyszłość należy do klas pracujących, i jak na schyłku zeszłego wieku czynny mieszczański żywioł w wielkiej rewolucyi francuskiej stanął do siejby na dziejowym łanie przed szlachtą, tak teraz zastępy robocze zepchną z pola burżuazyją, wśród której niestety za wiele marzy o beczynnem życiu z renty i obcinaniu kuponów.

Przyszłość i prym po wszystkie czasy należały do pracy; nauczyć się pracować, to odkryć słowo przyszłości.

K. W.



Dwie bajki.

I.

Olbrzym i dyabli.

Bajka dla dorosłych ludzi.

W one czasy, kiedy dyabli prowadzili wojnę z ludźmi, żył na świecie Olbrzym.

Dyabli już prawie zupełnie opanowali całą ziemię — nie było innych królów i panów, jeno Belzebub: wszyscy na niego pracowali, wszyscy mu się kłaniali, a w jaką stronę on ogonem kiwnął, w tą szli z pokorą głodnych cieląt i obitych psów. W ręku Belzebuba była władza i siła. Kto był pokorniejszy — temu rzucił ochłapa z łaski, albo kość do gryzienia — i było cicho. Kto był butniejszy, a uskarżał się, że pod rządami Belzebuba ucziwym i pracowitym ludziami źle się dzieje — tego albo głodem morzono, albo mu kaganiec nakładano na usta, aby mówić nie mógł, albo też chowano go tak, że tylko sam ze sobą mógł rozmawiać.

Uznawali tedy wszyscy chcąc niechcąc władzę Belzebuba.

Tylko Olbrzym na te rządy narzekał, a był nielada zuchwalec, bo ze wszystkimi dyablami za rogi porywał się — i nieraz takiego gorącego sadła za skórę im zalał, że skakały ze złości jak koguty, a podużać go nie mogły.

Poczęły dyabły radzić, w jaki sposób upokorzyć go lub zwyciężyć. Uradzili tedy wszyscy, a Belzebub rozkazał, ażeby go osamotnić, oddzielić od innych ludzi, ażeby do niego nikt się nie zbliżał, nikt z nim nie mówił, z żadną pomocą mu nie przychodził.

— Gdy go będziemy trzymać w biedzie i odosobnieniu — myślały dyabły — tem ci się łatwiej upokorzy albo zmarnieje.

Jak uradzili, tak się stało. Wszyscy usunęli się od Olbrzyma, nawet najbliżsi jego krewni, pozostał przeto sam, jak palec, lecz siłę posiadał zawsze tak wielką w sobie, że nikt go pokonać nie mógł. Niegdyś, gdy Olbrzym huknął — tysiące

zbierały się koło niego i szły do walki z dyabłami. Od chwili, gdy Belzebub coraz więcej ludzi na swoją stronę przekabacać począł, Olbrzym samotne i ubogie życie pędził w niewoli dyabłów.

Z tej lub owej strony przychodziły czasem wieści, że Olbrzym pomrukuje i rzuca się w gniewie, ale Belzebub i służy jego nie sobie z tego nie robili.

— Niech mruczy, niech się gniewa — mówili — silny on, to prawda, ale głupi i osamotniony — nie mamy się czego bać.

Spokój, szczęście i zadowolenie z rządów Belzebuba panowały na ziemi. Głównem zadaniem urzędników Jego Dyabelskiej Mości było przestrzeganie porządku według najwyższej woli, a głównym celem — uspienie wszystkich. Tego tylko uważano za wiernego poddanego Belzebuba, kto miał sen łatwy, dobry i długi. Kto spi — ten nie grzeszy, tej trzymano się maksymy. Ale ponieważ tam tylko spać można, gdzie absolutny panuje spokój, przestrzegano tedy spokoju jak oka w głowie.

Od czasu do czasu Jego Dyabelska Mość wysłał posłów od siebie, którzy przebiegali całą ziemię w celu przekonania się, czy wszyscy spią dobrze i czy kto nie mąci spokoju. Wiadomości przychodziły coraz lepsze: coraz więcej ludzi dostawało ustawicznej spiaczki, coraz niżej, coraz pokorniej schyłano głowę już nietylko przed Belzebubem i jego urzędnikami, ale przed każdym znakiem, wyobrażającym władzę Jego Dyabelskiej Mości.

Posłowie, wracając, mówili:

— Wszystko dobrze, tylko Olbrzym mruczy.

Ale nikt na mruczenie uwagi nie zwracał, gdyż go zdołano zupełnie odosobnić.

Nagle rozeszła się pogłoska, że Olbrzym znikł bez wieści.

Radość z tego powodu w państwie Belzebuba była wielka.

— Nareszcie! — zawołano chórem. — Teraz dopiero zapanauje wiek złoty na ziemi. Sen i spokój staną się szczęściem powszechnem.

Istotnie, szczęśliwość coraz większą ilość ludzi ogarniać poczyniała, a nie było już zuchwałego Olbrzyma, który sen mącił nawet Jego Dyabelskiej Mości.

Nikt już nie przychodził z zatrważającą wieścią, że Olbrzym mruczy, ale też nikt nie powiedział nigdy Belzebubowi, gdzie się on obraca.

Rozsełano tedy posłów po wszystkie krańce ziemi, aby się przekonali co się z nim stało, gdyż Jego Dyabelska Mość pałał gorącą chęcią powiedzenia wobec całego świata:

— Uszczęśliwiłem ludzkość! Wszyscy są pokorni lub spią! —

Trzej przyjaciele, cywilizowane dyabły, dla dogodzenia Belzebubowi, wybrali się na wspólną wędrowkę w celu zasiągnięcia dokładnych wiadomości o Olbrzymie.

Poszli tedy. Ażeby jednak łatwiej mogli wśrubować się wszędzie, jeden z nich ubrał się w czerwony fraczek i błękitne pludry, podgiął ogonek i w wąskie pluderki go wcisnął; drugi wdział na siebie niedźwiedzią skórę, a Francuz wędrowny ujął go na łańcuch i figle z nim gapiom pokazywał. Trzeci przebrał się za tanecznicę: ubrał się w czerwoną czapeczkę, różnobarwną kurtkę, ujął w rękę błazeński bębenek, ogon pod spodniczkę schował — i dalejże wszyscy trzej w świat.

Szli nie dzień i nie dwa, kręcąc się i błaznując pomiędzy ludźmi, ale Olbrzyma nigdzie spotkać nie mogli.

Powiadano im tylko, że dawno już nikt go nie widział, pewnie włożył do jakiego matecznika w lesie, umarł lub zasnął.

— Ha, jeżeli umarł, tem lepiej — niech będzie chwala za to Belzebubowi — rzekł Czerwony fraczek — ale gdybyśmy się naoznie przekonali, że umarł, to byłaby dopiero wiadomość pożądana!

Zbliżyli się w podróży swojej do Czarnego lasu, aż widzą, że lasu tego lisy strzegą. Chodzą naokoło na tylnych łapkach, cicho jak w papuciach.

Ujrawszy troje ludzi nieznanym, poseł od lisów zbliżył się do nich z łagodnym uśmiechem i rzekł:

— Przepraszam was kochani ludzie, ale tędy chodzić nie można.

— Dlaczego?

— W tym lesie jest grobowiec Olbrzyma, a my z własnej zyczliwości dla Jego Dyabelskiej Mości odbywamy straż, gdyż ludzie twierdzą, że on spii, a jak czas na niego przyjdzie, obudzić się może.

— Kto umarł, nie wstaje z grobu — zauważył filozoficznie Miś.

Dyabłom ogony drgały z radości, że wrócić mogą z pożądaną nowiną do Belzebuba.

— Po cóż wy tu przyszliście? — spytał Lis.

— Właśnie Jego Dyabelska Mość wysłał nas — odezwał się Czerwony fraczek — dla odszukania grobowca Olbrzyma i złożenia na jego grobie wieńca, gdyż Jego Dyabelska Mość czei i szanuje geniusz i siłę nawet u wrogów.

Lis uśmiechnął się niedowierzająco, lecz się nie zdradził.

— I owszem . . . proszę . . . — odrzekł uprzejmie.

Poszedł sam przodem, a dyabli za nim.

W gęszczy leśnym, wśród dębów i klonów, do szczytu niebios sięgających, leżał Olbrzym. Wiatr grał mu na gałęziach smutną piosenkę, ptaszęta głośno szczebiotały tuż nad samą głową, jakby obudzić go chciały, a on leżał cicho, niby snem wiecznym ukołysany.

— Tak, to on! — zawołał Czerwony fraczek. — Poznałem go.

— On — powtórzył Miś z cichą radością.

— Uspokoił się nareszcie . . .

Wszyscy ciezyli się w głębi duszy z tego, że Olbrzym umarł.

— Pilnujcie grobowca — odezwał się Czerwony fraczek z wielką powagą do towarzyszącego im Lisa — Jego Dyabelska Mość przychylności waszą oceni.

Lis ukłonił się z godnością, jak na szanującego swoje przekonania zwierza przystało.

— Ale trzeba przecie — rzekł słodko Czerwona czapka — znak jakiś przynieść Belzebubowi na dowód, żeśmy tu byli i grobowiec Olbrzyma oglądali.

— Tak jest — zauważył Lis z godnością — trzeba ażeby ludzkość wiedziała, że na straży spokoju publicznego my stoimy.

Była to przymówka o tekę ministeryalną lub order.

— Słusznie pan mówisz — zabrzczał słodkim głosem Czerwony fraczek — ale trzeba, ażeby i nasze zasługi uznane były.

— Naturalnie . . .

— Proponowałbym — odezwał się poważnie Czerwony fraczek — ażeby na dowód, że największego wroga świata, jakoteż Jego Dyabelskiej Mości już dosięgła sprawiedliwość boska, zwlec z niego szaty i oddać do muzeum ludzkości.

Tak lojalny sposób myślenia podobał się wszystkim.

Zabrali się tedy do ściągania szat z Olbrzyma: zdjęli z niego połatany kubrak, odpasali spodnie dziurawe, ściągnęli buty, u których z pod odpadających podeszew wyglądała słoma — i składali to wszystko na kupę.

Lis z drwiącą miną przyglądał się lichej odzieży Olbrzyma.

— Próźniak i leniuch — zauważył z uśmiechem — wojnę toczyć potrafił ze wszystkimi, a zapracować nawet na odzież nie umiał!

— O, to był buntownik! — zawołałi dyabli chórem.

Czerwona czapeczka odezwał się łagodnie:

— Musimy przed tronem Jego Dyabelskiej Mości złożyć wszystkie jego łachmany, a nawet — dodał, rzuciwszy okiem na połataną koszulę — nawet te strzępki i szmaty.

Zgodzono się na to zupełnie i wszyscy trzej zabrali się wnet do ściągania koszuli. Przewracali go na wszystkie strony, termosili, aż Czerwony fraczek z wielkiej gorliwości drapnął pazurami pierś Olbrzyma.

Gdy tak, dyabli siedząc na nim, gospodarują, nagle uczuli pod sobą drgnięcie jakieś — Olbrzym poruszył się.

Zimne mrowie przeszło im po skórze.

— Misiu! on żyje! — szepnął Czerwony fraczek.

W istocie Olbrzym niespodzianie otworzył oczy i widzi na swoich piersiach uwijających się troje dyabła. Dźwignął się na nogi — dyabła pospadały na ziemię jak gruszki.

— Coście za jedni? — krzyknął do nich.

Dyabli, przekonawszy się, że Olbrzym spał tylko, rzekli z pokorą w jeden głos:

— Przyjaciele twoi . . .

Czerwony fraczek ukłonił się do pasa, a z poza jego pleców wychylała się uśmiechnięta twarz Czerwonej czapeczki.

— Pociście tu przyszli? — spytał Olbrzym.

— Pilnowaliśmy, aby ci snu nikt nie przerywał — odpowiedział Czerwona czapeczka.

Lis, spostrzegłszy pomyłkę, kiwnął ogonem do swoich — a w jednej chwili wszyscy dali nura do lasu.

Olbrzym obrzucił siebie okiem i spostrzegł, że go do naga obdarto, a lice odzienie, jakie miał, na kupie leży.

— Pociście mnie ze wszystkiego obdarli? — zawołał.

— Obdarli? Boże uchowaj! Nie obdarliśmy cię przyjacielu . . . tylkośmy zdjęli stare ubranie, ażeby ci z rozkazu Jego Dyabelskiej Mości uszyć nowe.

— Wiesz przecie — dodał słodkim głosem Czerwona czapeczka — że Jego Dyabelska Mość jest dobrym i miłościvym panem . . .

— Wiem, wiem coś o jego dobroci i łasce . . . — mruknął Olbrzym. — Dziękuję wam dobrodzieje moi . . . Zanim się jednak większej łaski od was doczekam, Bóg zapłać i za to, żeście mnie zbudzili . . . Pod waszymi miłosiernymi rządami wszystkich usypia gnuśność — i ja zasnąłem. Gdybyście koszuli nie zdzierali z mego ciała, byłbym spał jeszcze, a tymczasem praca mię czeka . . .

— A tak . . . tak . . . — odezwał się Miś — trzeba pracować.

— Pracą wszystko się zdobywa — dodał słodko Czerwony fraczek.

Olbrzym ubierał się tymczasem w swoje lachmany i słuchał jak próżnujące dyabły chwaliły użyteczność pracy.

Wtem, rzuciwszy okiem na dyabła, stojącego najbliżej, dostrzegł, że mu z pod pludrów wywijają się kawałek kosmyka.

— A co to za włosy sterczą ci bracie?

— To nic, bagatela . . . ogonek.

— A u ciebie? — zwrócił się z zapytaniem do Czerwonej czapeczki.

— Pazurki bracie — odrzekł słodko. — Ach — dodał, westchnąwszy z pokorą — iluż to ludzi niesłusznie z pazurów nas sądzi!

Widząc, że Olbrzym wstał i rozruszał się na dobre, że go nie podużają, trzej przyjaciele zaczęli upewniać, że każdy z nich ma tylko najczystsze uczucia i zamiary w sercu, i że jedynym ich celem na świecie jest pełnienie dobrych uczynków.

— Wierzę wam, wierzę — odpowiedział Olbrzym — bez waszej pomocy byłbym spał jeszcze, gdy inni już się dawno pobudzili . . . Dziękuję wam, zbudziliście mnie.

Dyabeł, przebrany za niedźwiedzia, pomrukiwał i miał taką minę, jakby chciał pazurem capnąć Olbrzymowi, ale go inni z tyłu ciągnęli za kudły, ażeby nie drażnić.

Trzej przyjaciele zasępieni wracali do domu.

— Zbudził się Olbrzym — mówili między sobą — będzie z nami krucho, i sam nie zaśnie i nikomu spać nie da . . .

II.

Chata przy drodze.

Trochę prawda, trochę bajka.

Pod lasem, przy drodze stała chata — zwykła chłopska chata, gospodarska, w zrąb budowana, słomą kryta. Tuż opodal las wielki szumiał — dęby z bukami, Bóg wie od wielu tysięcy lat, wiodły ze sobą rozmowy; jedno pokolenie ustępowało, narastało drugie. Gospodarz, co w chacie mieszkał, pola miał dosyć, ile chciał — tyle orał. Chleba mu nie brakło — ro-

dziło się żyto, pszenica, jęczmień, na haliznach pasły się krowy i owce — i tak, gdy starcy schodzili do grobu, młodzi budowali nową chatę, a życie szło zwykłym trybem powoli i spokojnie.

Sprzyskrzyło się chłopu siedzenie w chacie.

— Pójdę w świat — powiada — popróbuję pańskiego życia.

Jak powiedział, tak się stało. Wziął toboł na plecy, wrzucił weń na wszelki przypadek bochen chleba, garść soli w węzełek zawiązał, kęs słoniny wsunął — i poszedł, a chata owa pustką została.

Pod wieczór przylazła pod chałupę ropucha, wytrzeszczyła ślepie i patrzy — a tu ani ducha żywego. Hyc na próg — i siadła. Posiedziawszy trochę, zaczęła kwakać na samym progu, aż jej się gardziel wydyma — niema nikogusienko, tylko echo w lesie odzywa się.

Wlazła tedy do chałupy, rozejrzała się i powiada:

— Taka piękna chałupa, a nikogo w niej niema. Będę tu mieszkać.

Siedzi sobie jak u Boga za drzwiami, aż przybiegła myszka.

— Co za śliczna chałupa — powiada — jak dworek pański, a nikogo w niej niema.

Posłyszawszy to ropucha, wyskoczyła na sam środek izby i krzyknęła:

— Jakto nikogo! Przepraszam mocno, ja jestem...

— Dosyć tu miejsca dla ciebie i dla mnie — powiada myszka — będziemy razem mieszkać.

— Dobrze.

Mieszkają tedy we dwójkę.

Po pewnym czasie przybiegł zajac.

— Co za śliczna chałupa — powiada — jak dworek pański, a nikogo w niej niema.

— Jakto nikogo! A ja! — woła ropucha.

— A ja! — odzywa się myszka.

— Pozwólcie i mnie z wami mieszkać. Ja wam wody nie zamączę, jestem spokojne zwierzątko.

— Dobrze, mieszkaj.

Mieszkają tedy we trójkę. Aż kiedyś do chaty wsuwa się lis.

— Śliczna chałupa — powiada — jak dworek pański, a nikogo w niej niema.

— O przepraszam! Ja tu jestem — odzywa się ropucha, i ja — i ja — powiadają myszka i zając.

— Pozwólcie jeszcze i mnie mieszkać. Ja lubię spokój i zgodę ze wszystkimi.

— Mieszkaj sobie — powiadają mu.

Kiedyś, myszkując po lesie, wsuwa się do chałupy odyniec. Fuknął, huknął i pyta się głośno:

— A kto tu mieszka?

Ropucha, myszka, zając i lis stawili się przed nim pokornie.

— To proszę Waszej Wielmożności nasza chałupa, my tu mieszkańcy.

— Dobrze — powiada odyniec — ja będę waszym panem.

— Niech się tak stanie — mówią pokornie — jak Wasza Wielmożność życzy sobie.

Na tem nie koniec. W nocy z hałasem wielkim wsuwa się do chałupy niedźwiedź.

— Hej! Jest tu kto! — woła.

Mieszkańcy przestraszeni stawiają się przed nim.

Lis jako najwymowniejszy, głos zabrał.

— Proszę Waszej Miłości — odezwał się cichutko — chałupina ta należała do chłopca, ale to był próżniak, powędrował Bóg wie gdzie za pańskim chlebem, a my zamieszkaliśmy w jego chacie.

Przytem ropucha, myszka i zając pokłonili się niziutko, tylko odyniec fukał w kącie.

— Dobrze — powiada niedźwiedź — ja będę waszym królem i wszystkich zjem, bom głodny.

Rzucił się do zająca — schrupał go, potem wskoczył na kark odyncowi zadusił i zjadł, ropuchę nogą rozdeptał, a myszka i lis uciekły.

Obzarił się i króluje sobie w chłopskiej chacie.

Nie wiem ile tam lat było szczęśliwego królowania, ale chłopca jak niema, tak niema. Przejadł mu się wreszcie pański chleb, biedy nakapało za kołnierz nie mało, więc myśli sobie:

— Dosyć tego dobrego! Wróć do ojcowizny — tam było najlepiej.

Wraca tedy. Tak mu serce bije radośnie na widok własnej chałupiny. Wchodzi do izby, a tu spasiony niedźwiedź leży jak długi.

— Pójdiesz ty żarłoku! — krzyknie chłop do niego.

— A wara! — ozwie się niedźwiedź — to moja chata.

— Tyś ją budował?

— Nie, ale jam ją sobie zdobył i królem tutaj jestem.

Poszedł chłop zwoływać sąsiadów na Misia. Póki do wypędzenia przyjdzie, tymczasem niedźwiedź siedzi w cudzej chacie, a chłop żydom wodę nosi.

Fr. Rawita.



Marya Magdalena

i trzy stopnie jej miłości.

I.

Marya w grzechu.

Onego czasu, kiedy Zbawiciel jeszcze chadzał po ziemi, stał w Magdali nad morzem galilejskiem gmach wspaniały. Różnobarwne, najkosztowniejsze kamienie zdobiły jego mury, a komnaty wyłożone były najprzepyszniejszym drzewem cedrowem. Wewnątrz rozchodziła się woń mirrhy i pachnidła, a słyszeć się dawały czarowne dźwięki harfy.

W pałacu tym mieszkała cudnej piękności, lecz pełna grzechu niewiasta; młoda latami, a bogata w kosztowne szaty i złote naczynia. Po kilkumiesięcznym zaledwie pożyciu małżeńskim, mąż jej umarł na febrę, zostawiając ją samą jedną na świecie. Miała wprawdzie matkę i rodzeństwo, ale ci nie mieszkali z nią we wspaniałym pałacu, lecz nieco opodal u stóp pagórka. Skromny był ich domek, tak jak i jego mieszkańcy, którzy nie chcieli mieć nic do czynienia z dumną, obcą im teraz mieszkanką pałacu.

W domku panował spokój i cisza. Na górze przeciwnie wrzało wszystko od życia i ruchu, tak że prawie oprzytomnieć było trudno. Bez wytchnienia i odpoczynku krzątały się wystrojone służebnice ze złotemi misami i dzbanami po miękkich kobiercach, które przygłuszały odgłos ich kroków — a słudzy o różnobarwnej cerze wyczekiwali rozkazów gości zewsząd przybywających. Pośród tego wyzywającego przepychu, w dużej sali, królowała Marya, ołsniewająca władczyni tych wspaniałości i patrzyła niezadowolonym okiem na jezioro Tyberyackie, które lśniło się jak roztopione szafiry. Od czasu do czasu zwracała się z wdzięcznym uśmiechem do gości, by do nich prze-

mówić, lecz prawie nigdy żaden z nich nie śmiał spojrzeć jej wprost w oczy; pomiędzy mężami owej krainy panowało mniemanie, że kto długo i głęboko spojrzy jej w oczy, ten zginie z miłości, dla tego niema ratunku, bo ten już do zdrowia nie wraca. A niejeden z tych, których uszczęśliwiała swymi względami, postradał zmysły i błakał się jak opętany po krainie Aram.

* * *

Stało się, iż pewnego dnia zawitał do domu położonego u stóp pagórka lewita idący z Tyberyady. Gościnnie przyjęła go matka Maryi, Rahab, podając mu jadło i napój, a syn jej Łazarz zaopatrzył tymczasem muła przychodnia. Cudowne wieści przyniósł lewita: opowiadał, że w Hain umarł młodzieniec, jedynak swej matki, wdowy, a gdy go wśród płaczu i narzekań niesiono do grobu, zastąpił orszakowi drogę mąż o bladym obliczu, pełnym słodyczy, otoczony dwunastu towarzyszymi. Tknięty litością przystąpił i dotknął się noszów — ci co je niesli stanęli, a on rzekł: „Młodzieńcze, tobie mówię, wstań!“ I umarły wstał i począł mówić, i oddał go matce jego. Zdumienie ogarnęło wszystkich; wielbili Boga i mówili: „Wielki prorok nam powstał i Bóg błogosławi ludowi swojemu“. Od owego dnia wielu trędowatych i opętanych chodzi za świętym mężem, a on dotknięciem uzdrawia ich. Tak kroczy przez Galileę, już jest w Emaus, a przyjdzie może i do Tyberyady. Na tem zakończył przybyły swoje wieści.

Z coraz większym zdziwieniem słuchała Rahab opowiadania lewity, poczem rzekła:

„Dzięki ci, szczęśliwy mężu za twoje wieści, bo wiedz, że i ja mam chore dziecko — nie chore, nie ślepe, ani zarazą dotknięte, ale zły duch opętał moją córkę i niszczy jej duszę, póki ostatniego śladu uczciwości w niej nie wymaże“.

Potem zawołała córkę swą Martę, która z uwagą słuchała słów matki, i rzekła do niej:

„Słuchaj dziecię, świta mi iskra nadziei. Prorok wielki powstał, Jemu przywieziemy Maryę opętaną namiętnością lubieżności, aby ją uzdrowił; On się jej dotknie, a ona powróci znowu na drogę cnoty i pobożności, tak jak było przedtem. Idź do niej, namów ją, by szła do Tyberyady usłyszeć słowa wzniesłego męża i korzystała z nich dla swego zbawienia. Oby Bóg Przedwieczny pozwolił swemu wybranemu jeszcze tego cudu dokazać!“

Marta uczyniła jak jej kazano.

II.

Marya namaszcza Pana Jezusa po raz pierwszy.

W miedzianym blasku widniały zdala mury Tyberyady. Marya popędzała swą leniwą oślicę do szybszego biegu i w te odezwała się słowa:

— Nie są to czary, Marto, ani zły duch! Czyż twoje zmysły praw swych się nie domagają? Wiedz siostrzo, że nie boję się Go jakoby lekarza. O nie! twoje słowa całkiem coś innego we mnie zdziałały, niż ty może myślisz! Ja kocham tego Niedostępnego, choć oczy moje Go nie widziały, a uszy nie słyszały.

— Nie bluźnij, Maryo, mnie zgroza przejmuje! Prorok nie będzie zważał ni na ciebie, ni na twoje zasady.

— Daremnie mówisz. Wyobraźnia moja maluje mi już wszystko w żywych kolorach i nie mogę jej powstrzymać, choćbym chciała.

— Grzeszną miłością równa się człowiek zwierzęciu, a świętą wzdargą zmysłów swoich dosięga bóstwa. Tak stoi napisane.

— Kłamiesz Marto, On tylko jest synem człowieczym; ale właśnie to, co Go wynosi ponad zwykłych ludzi, podnieca moją całą istotę. Jeszcze żaden mi się nie oparł. A choćby prorok ten był zimny jak głaz, to jak wąż z góry Tabor przyczołgam się do stóp Jego, rozgrzeję Mu serce, aż pryśnie pancerz, który je osłania i miłość ludzka w niem się obudzi. Ciebie, dumna królowo Astarto wzywam, byś błogosławiła moim zamiarom!

Słońce chyliło się ku górze Karmel i rzucało ukośne promienie przez palmy gaju faryzeusza Szymona. Marya rozglądała się niepewnym wzrokiem; pośrodku wolnego, cienistego miejsca ujrzała długi stół, a wokoło niego uczniów Zbawiciela. Wśród nich siedzieli możni faryzeusze i uczeni biegli w piśmie, którzy zadawali Mistrzowi pytania dwuznaczne, aby mieć broń przeciw niemu. Lęk ich ogarniał, że nowy Prorok zniszczy ich moc.

Marya szukała wzrokiem Chrystusa, ale postać jego zakrywał Judasz Iskariota, który siedział naprzeciw Mistrza i bardzo był czegoś niespokojny. Rude jego włosy w nieładzie na twarz mu spadały i zdaleka robiły wrażenie ciemnych płomyków poruszanych wiatrem.

Wreszcie powstało kilku biesiadników i Marya ujrzała Jezusa, zapałała oddech, oczu z Niego nie spuściła, bo wreszcie znalazła się wobec Tego, co był przedmiotem jej marzeń. Pan

Jezus, oblany w tej chwili złotymi promieniami zachodzącego słońca, wyglądał jak nieziemska istota; nad jego głową zdawał się unosić odblask jak gdyby zorzy świetlanej, a głos brzmiał jak dźwięki nadludzkie, kiedy w te odezwał się słowa:

— Zaprawdę powiadam Wam, żebym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brzękająca, albo cymbał brzącający.

Osoby uczniów błyszczały, gdy to mówił.

Jeden zaś z uczonych, kuszając Pana, zapytał:

— Nauczycielu, które jest największe przykazanie w zakonie?

A Jezus rzekł: „Będziesz miłował Pana Boga swego z całego serca; a wtóre podobne jest temu: będziesz miłował bliźniego swego jako siebie samego. Na tym dwojgu przykazaniu, wszystkich zakon zawisł i prorocy“.

Faryzeusze potrząsali głowami, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Marya ocknęła się z odrętwienia, które ją było ogarnęło; kolory powoli poczęły wracać na jej zbladłe oblicze, gdy usłyszała słowa Chrystusa. Postąpiła naprzód, z fałdów swego płaszcza wyjęła kosztowne naczynie napełnione wonną maścią i pomazała stopy Zbawiciela, ocierając je swymi włosami, które opadły jej na ramiona i w słońcu lśniły się jak szczerze złoto.

Judasz podziwu pełen wzrok wlepił w klęczącą niewiastę, Zbawiciel zamyślony śledził jej czynności, a Szymon Faryzejczyk szepnął tymczasem do ucha swego sąsiada:

— Gdyby ten był prorokiem, wzdryby wiedział kto jest ta niewiasta, co go dotyka, że jest jawno-grzesznicą.

Jezus odgadując myśli Szymona, rzekł:

— Szymonie, mam ci coś powiedzieć.

A on rzekł: „Mów Mistrzu“.

— Widzisz tę oto niewiastę? Wszedłem w twój dom, nie dałeś wody na nogi moje; ta nogi moje łzami polala i włosami swymi otarła. Nie pomazałeś oliwą głowy mojej, a ta olejką na nogi moje pomazała. Przeto powiadam tobie, odpuszczają się jej wiele grzechów, bo wiele umiłowała.

A do klęczącej niewiasty rzekł:

„Zaprawdę, powiadam tobie, trzy razy namaścisz nogi moje, po trzykroć inną miłością mnie umiłujesz. Idź w pokój“.

Chrystus położył rękę na jej skronie, a ona drgnęła jak odrodzona pod tem dotknięciem.

Powoli powstała i ze spuszczoną głową wyszła z gaju palmowego. Przed domem Szymona spotkała matkę swą Rahab,

która z rozpromienionem obliczem zwiastowała jej wielką nowinę, że Nazarejczyk uznał dom ich za godny i postanowił nocować u nich. Kiedy to jeszcze Maryi mówiła, wyszedł cały orszak z drzwi domu, na przedzie dwunastu apostołów, a pośrodku nich Pan, opowiadając im przypowieść o sobie. Towarzyszyła im Marya, ale nie dumna i wyniosła jak przedtem. Skromnie i w zamyśleniu postępowała za innymi z głową swą złocistą do ziemi pochyloną — a jeżeli czasem oczy podniosła i napotkała wzrok Judasza Iskarioty, pożerający ją, prędko znowu w dół spojrzenie swoje kierowała, bo wzrok ten napełniał ją niepokojem i trwogą.

Kiedy już cienie otoczyły cały Liban, stanęli u wrót Magdałi. Parę kroków przed domem Rahaby rozdzielały się drogi, jedna wiodła do pałacu Maryi, druga do chaty jej rodziny, którą drogę wybierze Marya? Ze wzdrgnięciem minęła wzgórze i weszła w progi ubogiej chaty; wtedy Rahab poznała, że Pan Jezus wyzdrowił jej opętaną córkę i łzy wdzięczności tajemnie z oczu otarła. Zmianę tę zaszła w Maryi spostrzegł i brat jej Łazarz. Ona tymczasem odziana jeszcze w wzorzysty bisior wzięła dzbanek i poszła po wodę. Kiedy tak sama stała u studni, obłana srebrnym światłem księżyca, usłyszała wołanie:

— Maryo Magdaleno!

Oglądnęła się i ujrzała Judasza, który ją wołał. Twarz miał zmienioną, włosy rude w nieładzie.

— Co chcesz Galilejczyku? — zapytała.

— Ucieknąć z tobą! — a mówiąc to chwycił ją za rękę i wskazał na wzgórze. Marya usunęła się nieco, ale niechcący zaczęła szatą swą o gwóźdź u studni — klamra na ramieniu się odpięła, szaty się odchyliły, ukazując alabaster szyi i ramion.

— Zaiste źle słyszysz swemu Panu — mowa twoja kwiecista, ale serce zepsute.

— A więc kochasz Nazarejczyka, niewiasto?! — zgrzytnął.

— Kim jesteś, abyś mnie śmiał pytać o coś podobnego?! — zawołała Marya i pobiegła do chaty. Tam udała się zaraz do izdebki Marty, przywdziała ciemne szaty swej siostry i dopiero wtedy udała się do izby, gdzie Zbawiciel siedział, a słowa wiecznej mądrości płynęły z ust jego. Marya usiadła u stóp Jego i z natężoną uwagą słuchała słów boskich. Marta, która mając tyle gości krzątała się około rozmaitej posługi, aby niczego nie brakło, przystąpiła i rzekła:

— Panie, nie dbasz, że siostra moja opuściła mię, żebym sama posługowała? Rzeczże jej tedy, aby mi pomogła.

Pan jej odpowiedział: „Marto, Marto, troszczysz i frasujesz się około bardzo wiele, ale jednego tylko potrzeba. Marya lepszą cząstkę obrała i ta od niej odjęta nie będzie“.

* * *

Tej samej nocy zgorzał pałac na wzgórzu i popiół z niego tylko pozostał, a jak ludzie twierdzili, spłonęła w nim i grzesznica Marya. Nikt nie umiał wytłumaczyć, skąd pożar powstał. Tylko jedno pachole opowiadało, że widziało męża o rudyh włosach, który jak cień przesunął się przez komnaty cedrowe.

III.

Marya namaszcza Pana Jezusa po raz drugi.

Za Zbawicielem i apostołami podążały dwie niewiasty, Marta i Marya pod opieką brata Łazarza i szły w ślad za Chrystusem przez Galileę i Samaryę i przez dolinę Jordanu. Kiedy nadchodziło święto Kuczek spieszyła cała święta gromadka do Betanii. Marya, zmęczona długą i uciążliwą wędrówką, pozostała w Betanii, a Zbawiciel ze swą drużyną podążył na górę Oliwną i do Jerozolimy, gdzie w świątyni nauczał.

Marya pozostała sama. Zwykle kładła się w trawę pod hyzopami, które domek jej okalały — włosy jak płaszczem okrywały jej ramiona i kibić i godzinami albo patrzyła w jamy czaszki leżącej przed nią, lub chwilami przymykała oczy, by się lepiej w swem wnętrzu rozpatrzyć. Żałowała i pokutowała. Znajdywała pewną rozkosz w obwinianiu siebie samej, bo poznała w cierpieniu tę siłę oczyszczającą. A miłość jej?... Gdzie się podziała ta dzika żądza?... ustąpiła miejsca wstydomi. Gdzie pierchła grzeszna fantazyja?... zamieniła się w żal nieukojonny. Zmysłowość ustąpiła miejsca dziewiczości, wąż kusiciel ustąpić musiał przed czystą Ewy tęsknotą. Niczego nie pragnęła już, tylko widzieć swego Pana i karmić się Jego słowami.

Jeźnego dnia, kiedy tęsknota za Mistrzem owładnęła jej istotę, zabrała się do Jerozolimy, gdzie właśnie Chrystus nauczał.

Kiedy miała przestąpić progi świątyni, zdało jej się, iż widzi Judasza Iskariotę żywo rozmawiającego za drzewem oliwnem z jednym z faryzeuszów. Obie postacie zniknęły przy jej zbliżeniu się.

Marya wzrokiem szukała Pana Jezusa, lecz w tem uczuła się silnie szarpniętą i nim mogła oprzytomnieć, znalazła się pośrodku świątyni wśród wiernych tam zebranych, a sprawca tego zamachu, który był uczonym z Kafarnaum, rzekł do Pana Jezusa:

„Nauczycielu, ta niewiasta jest jawnogrzesznicą, sam znam ją w Magdali; i ten, i ów, i my wszyscy, którzy jesteśmy z Galilei. Zakon nakazuje kamienować takie; cóż Ty na to mówisz?“

Maryi zdało się, że cała świątynia wali się na jej głowę, a ona sama leci gdzieś w przepaść bezdenną; kolana jej się ugięły i padła na ziemię pod ciężarem strasznego wstydu i grozy śmierci, czekając odpowiedzi Chrystusa Pana.

Jezus jednak nic nie rzekł, tylko pisał palcem na ziemi. Kiedy faryzeusze z groźbą pytanie swoje powtórzyli, Chrystus powstał i Marya te słowa usłyszała:

— Kto z was jest bez grzechu, ten niechaj pierwszy rzuci kamień na nią.

A mówiąc to powiódł po nich swym przejmującym wzrokiem, tak, że wszyscy jak olśnieni głowy popuszczali; ugodzeni we własne sumienie i zawstydzeni poczęli się jeden za drugim cichaczem wymykać ze świątyni.

Pan Jezus się nachylił i ponownie pisał coś na piasku. Wnet znalazł się sam z niewiastą skuloną u stóp swoich, wtedy powstał i rzekł do niej:

„Niewiasto, gdzie są ci, co cię oskarżyli?“

Marya milczała.

„Żaden ciebie nie potępił?“

Odrzekła: „Żaden, Panie“.

Wtedy rzekł Jezus: „Więc i ja ciebie nie potępiam, idź i nie grzesz więcej“.

Tak uratował Chrystus Pan Maryę Magdalenę od ukamienowania, ona zaś znękana, blada, wróciła do Betanii. Lecz tam czekało ją nowe doświadczenie. Łazarz ciężko zaniemógł na febrę, leżał w chacie trzęsąc się od zimna; dni jego zdały się być policzone. Marya przyszedłszy błagała Martę, by szła po Pana Jezusa; ta też natychmiast udała się w drogę. Lecz brat ich tymczasem umarł i leżał już cztery dni w grobie, gdy nadeszła Marta z Chrystusem Panem.

Marya ujrzawszy Zbawiciela przypadła do nóg Jego i mówiła:

„Panie, gdybyś tu był, brat nasz nie byłby umarł“.

I płakała. Jezus widząc ją i wszystkich obecnych zalanych łzami, wzruszył się litością i rzekł:

„Gdzieście go położyli?”

Na to Marya:

„Chodź Panie i zobacz“.

Chrystus kazał odwalić kamień od grobu i zawołał wielkim głosem:

„Łazarzu, wstań i chodź!”

I umarły wstał i był zdrów onej godziny. Wielu żydów, którzy byli obecni temu cudowi, uwierzyli w Chrystusa. Arcykapłan tylko i faryzeusze, którym Jezus zdawał się być coraz niebezpieczniejszym, postanowili go stracić. Szukali zdrajcy, któryby im wydał Pana. Długo nad tem myśleli, gdzieby takiego znaleźć.

W sercu jednego z apostołów kiełkowało złe ziarno i zdrajca dojrzewał; był nim Judasz Iskariota.

Gdy Chrystus ponownie bawił w domu Maryi, namiętna miłość Judasza dla niej doszła do szaleństwa, a widząc jak ona kocha Zbawiciela, a jego nienawidzi i unika, postanowił zgubić Pana Jezusa.

Sześć dni przed Paschą siedział Pan Jezus ze swoimi w mieszkaniu Maryi i opowiadał o zbliżającej się męce. Marya zaledwie łzy powstrzymać mogła, wiedziała bowiem, że śmierć Zbawiciela jest nieunikniona. Chrystus siedział spokojny i pogodny i słowa wiary płynęły z ust Jego.

Nadeszła noc. Marya wzięła funt olejku szpikanardowego, namaściła nim nogi Zbawiciela i otarła je swemi włosami. Zapach olejku rozszedł się po całym domu.

Na to rzekł Judasz:

„Dlaczego lepiej nie sprzedano tego olejku za 300 denarów i nie rozdzielono ich między ubogich?”

Chrystus usłyszawszy to rzekł:

„Czemu sprzeciwiacie się tej niewieście? ona dobry uczynek zrobiła. Biednych zawsze macie, a mnie nie zawsze mieć będziecie. Ta pomazując nogi moje, namaściła mnie przed pogrzebem“.

Na te słowa poczęła Marya szlochać.

Chrystus położył błogosławiąc dłonie swe na jej skronie, dreszcz ją przebiegł, bo wspomniała sobie, co Zbawiciel powiedział, kiedy Go pierwszy raz namaściła. Spoczęła u stóp Zbawiciela, a On strapiiony tak się odezwał:

„Zaprawdę powiadam wam, jeden z was wyda mnie“.

Apostołowie przerażeni poczęli pytać:

„Ażajem ja Panie?...”

Marya wiedziona złowrogiem przecuciem zapytała:

„Panie, czy może Judasz?”

Chrystus rzekł: „Tyś powiedziała“.

Marya zerwała się i rozglądnęła się dokoła, lecz Judasza już nie było, wyszedł był w ciemną noc. Pobiegnęła za nim, przytrzymała go, a padłszy mu do nóg poczęła go błagać:

— Galilejczyku, czyż to możebne, co ty chcesz zrobić? Byłżebyś ty zdrajcą naszego Zbawiciela?

— Kto ci to powiedział? — odrzekł ponuro.

— Nie wymawiaj się Judaszu — zawołała Marya — odpędź od siebie złego ducha!

— Wtedybym ciebie musiał odpędzić, Maryo Magdaleno; ty tu jak robak toczysz serce moje! ty nie wiesz, co się we mnie dzieje, jak nędzny jestem! Jedno tylko wróciłoby mi spokój, a to: zniszczyć wszystko! ciebie, Jego, mnie; wszystkich i wszystko zgładzić . . .

Zacisnął pięści.

Marya ze zgrozą podniosła głowę i wyciągnęła ramiona do zdrajcy. Księżyc właśnie oświecił jej postać i rozpuszczone jej włosy i w tym srebrzystym blasku wydawała się jakby widmem jakim.

„Może znalazłoby się inne wyjście z tego koła błędnego“, wtrącił Judasz, „chodź, Maryo, chodź; pójdziemy nad martwe morze i razem odpłyniemy w czółnie. Pozostaniemy na niem do rana, a jeżeli się czółno przewróci — powiedzą, że uczynił to wiatr z góry Gilead! — A Jezus będzie wyratowany.

Marya westchnęła pod ciężarem wewnętrznego bólu. Chrystus, albo ona. Tu niema co zwlekać . . . Faryzeusze czyhają . . . a morze martwe nie wyrzuca swych ofiar.

„Idę“, szepnęła prawie niedosłyszalnie i postąpiła naprzód.

Judasz wyciągnął do niej ramiona, lecz w tejże właśnie chwili otworzyły się drzwi domu i smuga światła oświeciła drogę i tych dwoje stojących.

Zanim mogli się otrząść z zamieszania ukazał się Chrystus we drzwiach, a ujrawszy Maryę, wziął jej skostniałą rękę, a do Judasza rzekł:

„Co masz czynić, czyin prędko“.

I zdrajca znikł w cieniu nocey.

W śmiertelnej trwodze zawołała Marya: „Judaszu, Judaszu!“ i padła bez zmysłów na ziemię.

IV.

Marya namaszcza Jezusa po raz trzeci.

Jeszcze była noc głęboka i księżyc swymi srebrnymi promieniami długie cienie rzucał poza pnie drzew na górze Oliwnej, gdy Marya wsparta na ramieniu Marty przekroczyła potok

Cedron. Kiedy dosięgła muru ogrodu Oliwnego, usłyszała hałas i szmer głosów ludzkich i broni i ujrzała przy czerwonym świetle pochodni Zbawiciela pośród zgrai faryzeuszów, postępującego ku bramie.

Maryja z wyteżoną żrenicą śledziła każde poruszenie niezwykłego pochodu, a gdy orszak cały zniknął poza murami Betsaidy, uczuła dziwną zmianę w swem wnętrzu. Uczucie posiadania się bez granic oświadczyło całą jej istotą; lekka i jak gdyby na nowo odrodzona pospieszyła bez wsparcia po kamiennistej drodze naprzód. Martę zdziwiła ta zmiana.

„Co ci jest, siostrzo droga“, zapytała, „co cię tak ożywia i prawie radością napełnia?“

Maryja z lekkim drżeniem w głosie odrzekła:

„Otóż wiedz, siostrzo moja, że zdaje mi się, iż tak jak Chrystus przepowiedział, trzeci stopień miłości budzi się w mem sercu. Już nie ku jednostkom uczucie moje zwrócone, ale ból całej ludzkości odczuwam dziś z Panem Jezusem. Jeden tylko cel mego żywota widzę, a to z Chrystusem i za Niego cierpieć i umierać. O śmierci, kiedyż mnie wyzwolisz!?“

Mówiąc to, przerwać musiała, uniesiona wewnętrznym wzruszeniem, a Marta zawołała:

„Maryjo, zaledwie pojąć mogę, co ty mi tu odkrywasz; to jedno tylko jasno widzę, że posiadasz tę miłość, co zwycięża śmierć i trwa aż poza grób. Dzięki niech będą Bogu na Syonie, że cię z grzesznicy w pokutnicę przemienił, że miłość twą występna przeprowadził przez miłość czysto ludzką do najwyższej miłości Bożej.“

Poczęło dnieć. Zaczynał się ów straszny dzień, w którym Maryja obok Syna człowieczego szła na Golgotę. U podnóża pagórka padła na kolana i pot z kroplami krwi wystąpił na jej czoło. Wnet postyszała uderzenia młota i zdało się jej, że nogi i ręce przedziurawiają jej ostrymi gwoździemi... że zawisła w powietrzu, a ciało jej szarpnięte zostało we wszystkich stawach. Krew kroplami sączyła się z pod jej bujnych splotów... a urągania tłuszczy kamieniem przygniatały jej duszę. Wtem ciemno jej się zrobiło przed oczyma... i ciemności otoczyły całą krainę i słońce zagasło, a z pagórka doszły te słowa do jej uszu:

„Wykonało się!“

Nagle powstał wichur, pioruny były, ziemia się zatrzęsła, skały pękały, groby się otwierały i ciała zmarłych sprawiedliwych z nich powychodziły... straszliwy jęk całej przyrody napełnił przestworze... a potem nastąpiła cisza głęboka.

* * *

Minęły długie, przykre godziny trwogi i słońce znówu zeszło, ale blade i jakby krwawe.

Dla Maryi nie wybiła jeszcze godzina wyzwolenia, zbudziła się z omdlenia, a pokrzepiona rannym powiewem podążyła do grobu Chrystusa. Lecz jakże radośnie serce jej zabiło, kiedy ujrzała kamień odwalony, a grób pusty. Cud ten ożywił ją i dodał nowych sił. Pospieszyła do Piotra i apostołów podzielić się z nimi wesołą nowiną i razem potem podążyli upewnić się o Zmartwychwstaniu Zbawiciela.

Równocześnie dowiedziała się Marya, że zdrajcę Pana Jezusa spotkał koniec godny jego czynu. Za pieniądze otrzymane za wydanie Pana swego zakupił rolę, na której sterczał spadzisty odłam skały. Na tę skałę wyszedł Judasz w swej dzikiej rozpacz i rzucił się z niej, obryzgując krwią swoją ziemię tak niegodnie nabytą.

W jakiś czas po Zmartwychwstaniu byli apostołowie i Marya zgromadzeni w Jerozolimie i mówili właśnie o Zbawicielu, gdy tenże stanął pośrodku nich. Nie posiadali się z radości. Chrystus usiadł między nimi i mówił im o miłości. Marya wtedy ostatni raz namaściła nogi Zbawiciela i otarła je swemi złocistemi włosami.

Chrystus złożył błogosławiąc ręce na jej skronie, a ją owładnęło uczucie niewymownego szczęścia i wewnętrznego spokoju. Wszelka boleść i strapienie opuściły ją; wszystko ziemskie wydało jej się małe i tak dalekie, jakby mgłą przyćmione; ciała swego prawie nie czuła, a nad głową jej zdawała się unosić świetlana aureola.

Pan rzekł do niej:

„Nim godzina upłynie, otrzymasz zapłatę za twoją wierność; doznasz najwyższego szczęścia, które nie jest z tego świata“.

Rzekłszy to, zabrał Maryę i apostołów i wyprowadził ich ku Betanii na wolne miejsce i błogosławił im.

Wtem otoczył go lekki obłok, oblicze jego przybrało wyraz nadziemski, postać całą oblał strumień złotego blasku... niebo się otworzyło, ukazując cały przepych swych bogactw... niebiańskie dźwięki dały się słyszeć... tam Zbawiciel wracał do swej Ojczyzny.

Ostatnie słowa Chrystusa Pana wnet się wypełniły. Marya po wniebowstąpieniu Zbawcy swego padła bez duszy na ziemię... zabrał ją Pan ze sobą do wiecznej szczęśliwości.

Józef Klemens Kreibig.